

Halina Dudzińska

Wspomnienia o wrześniu 1939 roku : w 60-tą rocznicę

Rocznik Kolbuszowski 5, 9-49

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Wspomnienia o wrześniu 1939 roku
(w sześćdziesiątą rocznicę)*

W dniu 1 września 1939 r. sześćdziesiąt lat temu, o świcie, potężne armie III Rzeszy Niemieckiej napadły na zachodnie i północne granice państwa polskiego, II Rzeczypospolitej, rozpoczynając wojnę, która stała się światową. Niemcy były wówczas krajem zamieszkałym przez osiemdziesiąt milionów ludzi, w większości wojowniczych i zaborczych, realizujących interesy swojego wysoko rozwiniętego pod względem gospodarczym i militarnym państwa. Znajdowały się one dodatkowo w agresywnym sojuszu z Japonią, Związkiem Radzieckim oraz Włochami. II Rzeczypospolita Polska zaś dopiero przed dwudziestu laty odrodziła się z ponad stuletniej niewoli niemieckiej i rosyjskiej, była słaba politycznie i zacofana gospodarczo. Przed wojną mieszkało w niej trzydzieści pięć milionów ludności, niejednorodnej pod względem narodowym. Armia jej, stosunkowo dosyć liczna, nie była nowocześnie wyposażona i nie mogła się równać z armią niemiecką - nowoczesną, zmechanizowaną, wyposażoną w miażdżącą siłę ognia. Polska piechota, jak sama nazwa na to wskazuje, maszerowała na piechotę, podczas gdy niemiecka była przewożona samochodami ciężarowymi. Polskie Wojsko posiadało zaledwie czterysta pięćdziesiąt czołgów i to lekkiego typu, podczas gdy niemiecka dywizja pancerna liczyła ich czterysta, a takich dywizji mieli Niemcy kilka, zorganizowanych razem z dywizjami lekkimi, mającymi po sto czołgów i przewożonych na platformach samochodowych, w korpusy pancerne. Armia niemiecka posiadała także silne lotnictwo, które z miejsca podjęło bombardowanie polskich dróg, linii i stacji kolejowych, rozrywając polską łączność i dezorganizując obronę. Liczba polskich samolotów bojowych równa była liczbie czołgów¹.

W chwili niemieckiej agresji, Wojsko Polskie podjęło obronę Ojczyzny. Było one podzielone na siedem armii, a każda z nich miała wyznaczony do obrony wielokilometrowy odcinek na zachodniej i północnej granicy Polski. Istniały armie: Armia "Pomorze", Armia "Modlin", Armia "Poznań", Armia "Łódź", Armia "Kraków", Armia "Karpaty" i odwodowa Armia "Prusy". Składały się one, przeważnie z trzech - czterech dywizji piechoty,

¹ Olgierd Terlecki. Najkrótsza historia drugiej wojny światowej. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 40-44. Władysław Steblik. Armia "Kraków" 1939, Warszawa 1975, s. 7, 31.

z brygady kawalerii, z brygad Batalionów Obrony Narodowej, Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), z pułków artylerii ciężkiej i lekkiej oraz z pułku lotniczego lub z eskadr lotniczych. Dywizja piechoty powinna była liczyć prawie piętnaście tysięcy żołnierzy, ale przeważnie polskie dywizje były mniejsze. Dzieliły się one na pułki, te z kolei na bataliony, bataliony na kompanie, kompanie na plutony, plutony na drużyny. Artyleria była zorganizowana w pułki, dywizjony i baterie. Lotnictwo również składało się z pułków a te z eskadr. Eskadra lotnicza miała dziesięć - dwanaście samolotów, latających kluczami - po trzy. W Wojsku Polskim były dwie brygady. Pierwszą z nich była 10 Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej (10 BKZmot.), złożona z dwóch pułków czołgów i pułku strzelców konnych. Sztab tej Brygady stacjonował przed wojną w Rzeszowie, a pułki w Łańcucie, Żurawicy, Bakończycach koło Przemyśla oraz w Stryju na Podolu. Była to najlepsza i najnowocześniejsza polska jednostka wojskowa. Druga - Warszawska Brygada Pancerno - Motorowa dopiero się formowała.

Wymienione wyżej armie polskie podjęły w obliczu agresji niemieckiej obronę zachodniej i północnej granicy kraju. Liczba żołnierzy była jednak za mała dla należytego obstawienia linii frontu, a uderzenia najeźdźcy - miażdżące. Oddziały polskie nie wytrzymały naporu. Wróg przerywał ich pozycje obronne i wdzierał się w głąb Polski. Dowódcy armii, bojąc się otoczenia i całkowitego zniszczenia swoich ugrupowań, zaczęli już w drugim dniu walk, 2 września, cofać się z linii granicznych bardziej na południe czy na wschód - licząc, że tam nastąpi koncentracja poszczególnych armii i skuteczniejsza akcja obronna. Obawiali się oni wystąpienia ZSRR przeciw Rzeczypospolitej. Agresja ta nastąpiła 17 września.

W dniu 3 września rządy Francji i Wielkiej Brytanii, które wcześniej zawarły z władzami polskimi sojusze obronne, wypowiedziały wojnę Niemcom. Jednak mimo tego aktu zachodni alianci byli bezczynni, nie przysłali Polsce natychmiastowej pomocy zbrojnej. Polacy sami zmagali się z niemiecką nawałą.

Południowo-zachodniego, uprzemysłowionego bastionu II Rzeczypospolitej broniła Armia "Kraków". Była ona największa i najsilniejsza z siedmiu armii. Dowódcą jej był generał Antoni Szylling, a linia obrony zaczynała się pod Częstochową na północy i sięgała pod Zakopane na południu. Stykała się z liniami obrony: Armii "Łódź" i Armii "Karpaty". W skład Armii "Kraków" wchodziły: 6 Dywizja Piechoty (6 DP) - krakowska, dowodzona przez gen. Bernarda Monda; 7 Dywizja Piechoty (7 DP) - częstochowska, dowodzona przez gen. Janusza Gąsiorowskiego; 21 Dywizja Piechoty Górskiej (21 DPG) - bielska, dowodzona przez gen. Józefa Kustronia; 23 Dywizja Piechoty (23 DP) - katowicka, dowodzona przez gen. Jana Jagmin- Sadowskiego; Krakowska Brygada Kawalerii, dowodzona przez gen. Zygmunta Piaseckiego; 45 rezerwowa Dywizja Piechoty (45 DP); 1 Brygada Górską Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), złożona z Batalionów

Obrony Narodowej z Podhala, Śląska i innych stron Polski, oraz grupy forteczne, czyli bataliony zapasowe ze Śląska i z Krakowa.

Na wiosnę 1939 r., wydzielono z Armii "Kraków", w celu sprawniejszego dowodzenia i działania, dwie grupy operacyjne: Grupa Operacyjna "Śląsk" (GO "Śląsk"), dowodzoną przez gen. Jana Jagmin- Sadowskiego i Grupę Operacyjną "Bielsko" (GO "Bielsko"), dowodzoną przez gen. Mieczysława Borutę- Spiechowicza. Do GO "Bielsko" należały: 6 DP, 21 DPG i 1 Brygada Górską. W pierwszym dniu wojny Naczelny Wódz marszałek Edward Śmigły- Rydz przydzielił Armii "Kraków" 10 BKZmot. Weszła w skład GO "Bielsko". Już w czasie działań wojennych GO "Śląsk" nazwano GO "Jagmin", a GO "Bielsko" - GO "Boruta"².

W GO "Bielsko" czy "Boruta", znajdowały się dwa bataliony, których szlak bojowy prowadził przez ziemię kolbuszowską i które tutaj walczyły z Niemcami. Były to: batalion "Wołożyn" KOP z Suchej na Podhalu i 4 krakowski batalion forteczny. Pierwszym dowodził kapitan Piotr Tymkiewicz, drugim (na terenie Kolbuszowej) - porucznik Andrzej Krawiec.

Południa Polski - Podkarpacia broniła Armia "Karpaty", dowodzona przez gen. Kazimierza Fabrycego. Była ona mała i późno zorganizowana. W skład jej wchodziły: 2 i 3 Brygada Górską KOP; GO "Jasło", złożona z podkarpackich Batalionów Obrony Narodowej, a od wybuchu wojny także 11 Karpacka i 24 jarosławska Dywizja Piechoty oraz dwie eskadry lotnicze: 31 eskadra z Poznania i 56 eskadra z Lidy na ziemi nowogródzkiej. Po przylocie do Małopolski 31 eskadra, mająca kryptonim "Motyl 10", znalazła sobie lotnisko polowe koło wsi Werynia pod Kolbuszową. Druga eskadra wybrała sobie lotnisko w Mrowli koło Rzeszowa³.

Przyjrzyjmy się działaniom obronnym Armii "Kraków". Oddziały jej, będące na linii granicznej, dzielnie walczyły z wrogiem w dwóch pierwszych dniach wojny. Niemcy skierowali przeciwko nim duże siły. Były wśród nich dwa korpusy pancerne: XVI Korpus, skierowany na Częstochowę i XXII Korpus, który wyszedł ze Słowacji, z Przełęczą Jabłonkowskiej i uderzał na Jabłonków i Czarny Dunajec - nieco na zachód od Zakopanego. XXII Korpus składał się z 2 dywizji pancernej, z 4 dywizji lekkiej i z 1 brygady górskiej. Z tych jednostek najbardziej interesuje nas 2 dywizja pancerna, gdyż ona przybyła na ziemię kolbuszowską w dniu 9 września w godzinach przedpołudniowych, w drugą wojenną sobotę i walczyła z zastanymi tutaj oddziałami polskimi, z batalionem "Wołożyn" i 4 krakowskim batalionem fortecznym. Z pierwszym z nich toczyła pod Kolbuszową, pod wsiami Świerczów i Kolbuszowa Dolna od szosy wiodącej do Mielca. Z 4 krakowskim batalionem fortecznym walczyła w centrum Kolbuszowej.

Niemieccy napastnicy przerwali linię obrony Armii "Kraków" na jej północnym odcinku, pod Częstochową, miażdżąc i wyniszczając prawie zu-

2 Władysław Steblik, Armia "Kraków" 1939, Warszawa 1974, s. 7, 31.

3 Ryszard Dalecki, Armia "Karpaty", Rzeszów 1989, s. 32.

pełnie polską 7 DP. Ruszyli w głąb kraju. Na południowym odcinku drogę najeżdżcom z XXII Korpusu Pancernego zastępowała głównie 10 BKZmot. ze swoimi czołgami. Pierwszą walkę stoczyła pod Jordanowem. Ale i ona nie wytrzymała naporu niemieckiego ognia i musiała się cofać. Biła się potem pod Myślenicami i Bochnią.

Gen. Antoni Szylling już 2 września zrozumiał, że jego Armia może zostać przy granicy otoczona i rozbita. Zwrócił się więc do Naczelnego Wodza z prośbą o pozwolenie na wycofanie Armii bardziej na wschód. Otrzymał odpowiedź pozytywną na odwrót Armii "Kraków" na linię rzek: Nida w Kieleckiem i środkowy oraz dolny Dunajec, w okolicę Tarnowa. Tu, według życzenia Marszałka, miał być zorganizowany nowy front. Jednak Niemcy do tego nie dopuścili.

Gen. Szylling chciał nadać akcji wycofywania się Armii "Kraków" charakter zorganizowany. Oddziały GO "Jagmin" dostały rozkaz maszerowania, poczynając od nocy z 2 na 3 września, nad Nidę wzdłuż lewego, zachodniego brzegu Wisły. Spełniały rozkaz. Oddziały GO "Boruta" szły nad Dunajec wzdłuż prawego, wschodniego brzegu wiślanego, porośniętego przez Puszcze Niepołomicką, gdzie dróg jest mało. Wszędzie drogę wojsku tarasowały masy uciekinierów - cywilów z Polski zachodniej, opanowane paniką, strachem przed Niemcami. Za wojskiem podążali hitlerowcy, nękając Polaków wojną podjazdową. Polacy musieli wyrwać się z okrążenia.

W dniu 7 września GO "Boruta" została okrążona nad dolnym Dunajcem, na północny zachód i na północ od Tarnowa. Na Dunajcu według życzenia Naczelnego Wodza miał być front. Nie powstał on z tego względu, że E. Rydz-Śmigły połączył Armię "Kraków" i Armię "Karpaty" w Armię "Małopolska", a jej dowódca gen. K. Fabrycy postanowił utworzyć front na Sanie i wycofał znad środkowego Dunajca ustawioną już tam 24 DP. GO "Boruta" ściągająca nad dolny Dunajec, poza Tarnów, w okolicę Radłowa, Zabna i Biskupic, miała odsłonięte, przed Niemcami, wschodnie skrzydło. Na tym skrzydle zjawili się Niemcy z XXII Korpusu Pancernego i ich 7 dywizja piechoty. Do powstania dramatycznej sytuacji GO "Boruta" nad dolnym Dunajcem przyczyniła się też z konieczności 10 BKZmot. Do wieczora dnia 6 września osłaniała ona cofające się prawe, wschodnie skrzydło "Boruty", walcząc z 2 dywizją pancerną i 4 dywizją lekką (z XXII Korpusu). Po bitwie pod Bochnią w dniu 6 września 10 BKZmot. zabrakło benzyny. Następnego dnia z rana jej dowódca pułkownik Stanisław Maczek uzyskał pozwolenie gen. Boruty- Spiechowicza, będącego w Żabnie, na udanie się Brygady, będącej w okolicy Radłowa, na północny wschód od Tarnowa, w celu zdobycia benzyny i uporządkowania sił, w rejon Radomyśla Wielkiego, miasteczka położonego w odległości trzydziestu kilometrów na północny wschód od Tarnowa, znajdującego się już w powiecie mielec-kim, niedaleko od Kolbuszowej. 10 BKZmot. pojechała 7 września do Radomyśla, a postępujące za nią jednostki XXII Korpusu zajęły Tarnów. 4

dywizja lekka wyjechała z tego miasta dobrą, nie bronioną drogą, zdobywać Dębicę i Rzeszów, a 2 dywizja pancerna udała się za 10 BKZmot. nad dolny Dunajec, pod Żabno i Biskupice, gdzie ściągały właśnie, w dniu 7 września oddziały GO "Boruta"⁴. Niemiecka dywizja sprawiła im, w tym dniu i w nocy, straszliwą rozprawę. Oddziały polskie musiały wyrwać się z okrążenia. Jedne zdążyły przejechać na prawy brzeg Dunajca, po moście pod Biskupicami, inne musiały przepływać wpraw przez tę rzekę. Większość ich wyrwała się, ale była już okaleczona. Powstało dużo "odprysków", pogubionych żołnierzy. Wszyscy dążyli do Radomyśla Wielkiego, a stamtąd pod Ułanów, nad dolny San. Za nimi postępowali Niemcy, 2 dywizja pancerna i jakaś piechota. Front przyszedł, w ten zakątek Polski, na ziemię powiatu mieleckiego i kolbuszowskiego.

Wiadomo ze wspaniałej książki "Armia "Kraków" 1939", wydanej w 1975r., napisanej przez Władysława Steblika, rodem z Żywca, przedwojennego kapitana ze sztabu Armii "Kraków", że oddziały "Boruty" z Radomyśla Wielkiego nad San wędrowały trzema szlakami. Jeden wiódł przez Szczucin nad Wisłą, Baranów i Tarnobrzeg. Nim poszło najwięcej oddziałów. Drugi wiódł do Tarnobrzega przez Mielec i Majdan Królewski, a trzeci prowadził przez ziemie powiatu kolbuszowskiego i przez miasto Kolbuszowa. Z Radomyśla Wielkiego do Kolbuszowej można jechać okrężną, lepszą drogą, przez Mielec, a potem przez wsie: Przyłęk, Kosowy, Siedlanka, Swierczów i Kolbuszowa Dolna. Można również jechać bliższą drogą. Zaczyna się ona około 10 kilometrów przed Mielcem, pod wsią Rzemień i prowadzi przez wsie: Dobrynin, Niwiska, Trześć i Nowa Wieś. Ta droga we wrześniu 1939 r. była śródleśna i niesamowicie piaszczysta. Dzisiaj jest już wybrukowana. W omawianym czasie oddziały polskie przemieszczały się obiema drogami.

10 BKZmot. będąc w Radomyślu Wielkim otrzymała rozkaz udania się do Rzeszowa, dla jego obrony. Przejechała ona w nocy z 7 na 8 września przez Mielec i Kolbuszowę do Głogowa pod Rzeszów. Nie zdążyła już bronić tego miasta. Zajęła go 4 dywizja lekka. 10 BKZmot. udała się pod Jarosław i broniła go. Według W. Steblika, przez Kolbuszowę przesuwali się: część krakowskiej Brygady Kawalerii, części 202 pułku piechoty z 21 DPG, niektóre baterie 6 DP i 21 DPG, niektóre bataliony I Brygady Górskiej i trzy szpitale polowe, szpital 6 DP, 21 DPG i szpital odwodowy⁵. Z Kolbuszowej udawały się one przez Werynię, Dzikowiec, Ranizów, Sokołów Młp., Leżajsk czy Rudnik nad Sanem pod Ułanów.

Wymienione oddziały wojskowe przechodziły tak jak 10 BKZmot. w nocy z 7 na 8 i w dniu 8 września, a niektóre oddziały jeszcze z rana czy do południa następnego dnia przez ziemie powiatu kolbuszowskiego. Wymieniony powiat posiadał dwa miasta, raczej wtedy miasteczka, Kolbuszo-

4 W. Steblik, op. cit., s. 235.

5 W. Steblik, op.cit., s.s. 258, 259, 342.

we i Sokołów, nazywany dzisiaj Małopolskim oraz siedem gmin: Kolbuszowa Dolna, Kolbuszowa Górna, Cmolas, Dzikowiec, 'Majdan Królewski, Raniżów i Sokołów. Mieszkało w nim ponad siedemdziesiąt tysięcy ludzi, z tego prawie siedem tysięcy żyło w dwóch wymienionych miasteczkach. Reszta mieszkała na wsi, utrzymując się głównie z drobnych gospodarstw rolnych. Powiat był biedny. Leżał na terenie dawnej Puszczy Sandomierskiej, miał i ma ubogą, piaszczystą ziemię, gęsto zalesioną. Przemysł stanowiły - jedna gorzelnia Jerzego Marii hrabiego Tyszkiewicza w Kolbuszowej, oraz kilka cegielni i tartaków. Nie posiadał on ani skrawka linii kolejowej. Najbliższa stacja dla kolbuszowian znajdowała się w Sędziszowie, oddalonym o dwadzieścia kilometrów. Następne były w Mielcu, oddalonym o dwadzieścia siedem kilometrów, w Rzeszowie, oddalonym o trzydzieści kilometrów. Do Tarnobrzega jest z Kolbuszowej czterdzieści kilometrów. Wówczas podróże odbywały się furmankami konnymi. Wprawdzie w Kolbuszowej, w II Rzeczypospolitej, panowie Waław Osiniak i Leon Zieliński założyli Spółkę Autobusową i utrzymywali kursy do wymienionych miast, ale bilety za przejazd były drogie i na tę formę komunikacji mogli sobie pozwolić tylko znaczniejsi urzędnicy i bogatsi Żydzi. Ci ostatni mieszkali w miastach. We wsiach żyli tylko w pojedynczych rodzinach.

Centrum powiatu kolbuszowskiego stanowiła Kolbuszowa. Leży ona na płaskowyżu, w otoczeniu lasów i w kotlinie, nad małą rzeką Nil. Miasto wciśnięte jest pomiędzy dwa wzgórza. Wzgórze od strony zachodniej, przez które prowadzi droga do Nowej Wsi, Trześni, Niwisk, Rzemienia, Przeclawia, Radomyśla Wielkiego i dalej do Dębicy, oraz wzgórze od strony północno-wschodniej, przez które ciągnie się droga do Weryni, Raniżowa, Sokołowa Młp. i dalej do Leżajska, Rudnika nad Sanem i Stalowej woli. Jeżeli mowa o drogach, to można wspomnieć, że miasto wyrosło przy skrzyżowaniu lokalnych, dawniej puszczańskich dróg. Przechodzą przez nie drogi: z Mielca do Rzeszowa, z Sandomierza i Tarnobrzega również do Rzeszowa, oraz droga do Sędziszowa i do Sokołowa Młp. Trasy te schodzą się przy kolbuszowskim rynku. W Kolbuszowej mieszkało wtedy około 3200 mieszkańców. Nieco więcej niż połowę z nich stanowili Polacy - katolicy, nieco mniej niż połowę - Żydzi. Kolbuszowianie - katolicy byli w części inteligentami - urzędnikami, a w większości mieszczanami - rzemieślnikami i drobnymi rolnikami. Żydzi przeważnie utrzymywali się z prowadzenia handlu a częściowo i z rzemiosła. Nad miastem górował rzymskokatolicki kościół parafialny, mający za patronów Wszystkich Świętych. Były w mieście dwie szkoły powszechne, męska i żeńska oraz gimnazjum. Działały polskie i żydowskie organizacje polityczne i społeczne. Żywe były wówczas wśród mieszkańców uczucia patriotyczne i istniały bliskie kontakty z 17 pułkiem piechoty WP, stacjonującym w Rzeszowie.

Co roku, na wiosnę, żołnierze z 17-mnastki wędrowali przez Kolbuszowę na poligon, a jesienią wracali do koszar. Nauczyciele z Kolbuszowej i

ze szkół wiejskich organizowali wtedy przywitania i pożegnania wojskowych. W Kolbuszowej uroczystości te odbywały się na rynku, leżącym przy południowym boku kościoła parafialnego pod wezwaniem Wszystkich Świętych, wśród kwiatów i dźwięków orkiestry. Na pięknym, kolbuszowskim stadionie były też organizowane, każdego lata, obozy dla kandydatów na oficerów, uczących się w szkołach podchorążych. Oddział obozowiczów chodził po ulicach miasta śpiewając. Wieczorami podchorążowie odwiedzali domy, w których mieszkały panny. Kilku kolbuszowian: Zdzisław Gródecki, Wincenty Gumiński, Adam Miś, Tadeusz Zach, służyło w oddziale 10 BKZmot., stacjonującym w Żurawicy koło Przemyśla. Wymykali się na przepustki do domów motocyklem z przyczepą lub willisem i urządzali w Kolbuszowej, przejażdżki dzieciom. Był i kolbuszowianin - lotnik, czasem krążący w samolocie nad rodzinną miejscowością. Wielu osobom życie wydawało się, wtedy, takie przyjemne i wesołe.

Aż tu nagle, w dniu 1 września 1939 r. wybuchła wojna. Ruch wojenny w Kolbuszowej rozpoczęła, jak i w całej Polsce, mobilizacja, ogłoszona 24 sierpnia. Powołani spieszyli do wojska. Pozostałych ogarnął niepokój.

Ruch wzmógł się, gdy 27 sierpnia przyleciał, na skraj Weryni, na nieco więcej niż kilometr od Kolbuszowej - "Motyl 10", czyli przybyła 31 Eskadra Lotnicza z Poznania, przeznaczona dla Armii "Karpaty". O eskadrze tej pisali, w ostatnich latach, różni autorzy. Tutaj, zostanie ona przedstawiona na podstawie książeczki "Front bez myśliwców" pana Wacława Króla, wydanej w Warszawie, w 1979 r. Oto wypisy z niej:

W dniu 26 sierpnia 1939 r., 31 eskadra, stojąca na lotnisku "Ławica" pod Poznaniem dostała rozkaz przelotu na lotnisko 6 Pułku Lotniczego w Skniłowie pod Lwowem. Liczyła ona jedenaście samolotów, dziesięć samolotów typu - PZL P-23 "Karaś" i jeden samolot łącznikowy typu - RWD-8. Dowódcą Eskadry był kpt. Witalis Nikonow, pewnie Polak, pochodzenia białoruskiego. Eskadra miała personel latający i o wiele większy personel naziemny, swoją obsługę techniczną. Personel latający tworzyło trzydziestu pięciu lotników, oficerów czy podoficerów, pilotów, obserwatorów i strzelców pokładowych. Załogę każdego "Karasia" stanowiło trzech lotników, pilot, obserwator i strzelec pokładowy. Dowódcą załogi bywał przeważnie oficer - obserwator. Piloci bywali, na ogół, podoficerowie po szkołach lotniczych dla małoletnich. Strzelcy pokładowi rekrutowali się z żołnierzy służby czynnej, wybranych przez komisje lekarskie i przeszkoleni na odpowiednich kursach. Załoga techniczna obsługująca eskadrę, liczyła ponad sto osób, różnego rodzaju mechaników. Wojsko jest olbrzymią machiną i bardzo kosztowną.

Zastępcą kpt. W. Nikonowa, d-cy eskadry był porucznik obserwator (por. obs.) Henryk Możdżeń. Oficerem operacyjnym był por. obs. Tadeusz Kołodziejski. Lotnikami obserwatorami byli: por. Antoni Soroko, por. Kazimierz Joszt, por. Jerzy Sukiennik, por. Leon Nowicki, ppor. Wacław Białkiewicz,

ppor. Olgierd Łuczkowski, ppor. Adam Szajdzicki, ppor. Stefan Pstrokoński, ppor. Marian Wojtowicz, ppor. Stefan Szczepański, podchorąży (pchor.) Stefan Pigłowski, pchor. Marian Pszenny. Lotnikami - pilotami byli: ppor. Józef Wroński, ppor. Jan Orzechowski, podchorąży (pchor.) Stefan Maciejewski, pchor. Stefan Makarewicz, st. sierż. Konstanty Korzeniowski, kpr. Ignacy Rabięga, kpr. Franciszek Sobkowiak, kpr. Jan Wiensko, kpr. Andrzej Kuźniacki, kpr. Jan Daczka, kpr. Leon Kegel, kpr. Edmund Rozmia-rek., Lotnikami - strzelcami pokładowymi byli: kpr. Stanisław Lis, kpr. Stefan Jarzębowski, kpr. Józef Starosta, kpr. Józef Rek, kpr. Feliks Zemler, st. sierż. Józef Skorczyk i st. szer. Czesław Pelik.

"Motyl 10" przyleciał, dnia 27 sierpnia 1939 roku z Poznania do Skniłowa. Jego obsługa techniczna pojechała na samochodach. W Skniłowie płk Tuśkiewicz, dowódca lotnictwa Armii "Karpaty" dał kpt. Wasylowi Nikonowowi polecenie udania się do Weryni koło Kolbuszowej w celu znalezienia tam - lotniska polowego dla swojej eskadry. Eskadra ta została przydzielona do Armii "Karpaty". Kpt. Nikonow zaraz przyleciał z por. Możdżeniem, na RWD-8, na poszukiwanie. W Weryni wybrał na lotnisko kawał równego pola, leżącego na wzgórzu od strony północnej, obok pałacu Jerzego Marii hrabiego Tyszkiewicza, właściciela majątku ziemskiego w Kolbuszowej i w Weryni. Ściągała się już i obsługa techniczna. Pomieszczenia dla lotników znalazły się w pałacu, dla personelu technicznego w pobliskich zabudowaniach folwarcznych.

Pole, wybrane na lotnisko, należało wyrównać. Por. Możdżeń pojechał, na motocyklu, do Kolbuszowej, szukać pomocy. Udzielił mu jej burmistrz, Wiktor Winiarski. W dwie godziny zajechały na wzgórze dwa walce ściągnięte z reperowanej szosy i pole "zaroilo" się od młodych ludzi, od lotników i przysłanych im ku pomocy kolbuszowskich gimnazjalistów. Praca trwała dwa dni i w dniu 30 sierpnia przyleciało, na gotowe lotnisko dziewięć "Karasi" ze Skniłowa. Dziesiąty uległ, po drodze, awarii. Lotnisko było dobre, równe i twarde. Zaraz na nim zapanował stan wojenny. Lotnicy studiowali mapy terenu i odbywali loty rozpoznawcze. Zaznajamiali się z ludźmi z Weryni i z Kolbuszowej. W Kolbuszowej dotarli na plebańnię i zawarli przyjaźń z młodymi księżmi - wikariuszami.

Być może, że wieść o wojnie usłyszeli jako pierwsi na terenie Kolbuszowej i Weryni, lotnicy z Weryni. Jak pisze W. Król, 1 września o godz. 6⁰⁰ rano w weryńskim pałacu w pokoju kpt. Witalisa Nikonowa, zadzwonił telefon. Kapitan już nie spał. Telefonował płk Tuśkiewicz ze Skniłowa z wiadomością o wojnie. Pułkownik kazał ogłosić alarm w eskadrze i przygotować ją do działań wojennych. Rozkaz został wykonany. W krótkim czasie dwa pierwsze "Karasi" wyleciały na rozpoznanie sytuacji w stronę Karpat, ku granicy ze Słowacją. Badali zgrupowania wojska, robili zdjęcia i szkice. Chociaż "Karasi" nie były bombowcami, ich lotnicy mieli z sobą bomby. W następnych dniach, gdy lecieli na rozpoznanie, umocowywali je

do skrzydeł swoich samolotów i spuszczała, gdy mogli, na pozycje nieprzyjacielskie.

Już w dniu 3 września Eskadrę "Motyl 10" spotkało pierwsze wielkie nieszczęście. W służbie dla Polski straciło życie trzech jej lotników. Raniutko tego dnia jeden "Karaś" wyleciał ku granicy słowackiej. Szybował za nisko nad Zakładami Azotowymi w Mościcach koło Tarnowa i został wzięty przez pomyłkę przez załogę przeciwlotniczą w tej fabryce, za samolot nieprzyjacielski. Zaczęto strzelać do niego i trafiono go. "Karaś" zapalił się. Lotnicy nie zdążyli się uratować. Zginęli razem z samolotem: por. obs. Henryk Możdżeń, z-ca dowódcy eskadry, ppor. obs. Stefan Pstrokoński i kpr. pilot Jan Wiensko. Nie pozostał po nich nawet ślad. Pamięć tych Polaków powinna być utrwalona, na zawsze w Weryni czy w Kolbuszowej.

W innym dniu sześć "Karasi" z Weryni poleciało w okolice Nowego Targu spuścić na Niemców parę bomb. Wykonały zadanie, ale dostały się w wir walki. Zostały postrzelone. Jeden "Karaś" musiał lądować w drodze powrotnej. Załogę jego stanowili: por. obs. Antoni Soroko, kpr. pilot Ignacy Rabiega i pchor. obs. Stefan Pięłowski. Na szczęście ci lotnicy przeżyli, jak pisze W. Król, katastrofę.

W dniu 7 września "Motyl 10" posiadał już tylko trzy "Karasi", samolot łącznikowy RWD-8 i dwa samoloty RWD-XIV "Czapla", przysłane mu, w międzyczasie ze Skniłowa.

Jeden spośród żołnierzy z Armii "Kraków" wycofujących się znad Dunajca, w nocy z 7 na 8 i w dniu 8 września przez miasto Kolbuszową opisał swoje ówczesne spostrzeżenia i odczucia, po czym przekazał je rodakom. Jest to Jan Józef Szczepański, wówczas młody krakowianin, podchorąży jednej z baterii krakowskiego 6 pułku artylerii lekkiej (6 p.a.L.). W czasie przeprawy *przez* Dunajec pod Biskupicami zgubił się z całą baterią, odłączył od swojego dywizjonu i przyłączył do baterii artylerii 21 DPG⁶ i z nią jechał konno od Radomyśla Wielkiego do Kolbuszowej i dalej nad San. Po wojnie został literatem. Swoje wojenne, wrześniowe wspomnienia, opisał w książce "Polska jesień", wydanej po raz pierwszy w 1955 r. Zapamiętał on dużo z drogi do Kolbuszowej i przejazdu przez nią, z atmosfery tamtych dni i utrwalił wspomnienia w powieści, jednak pojawiły się w niej pewne nieścisłości. Z tekstu wynika, że spod Rzemienia jechał on do Kolbuszowej wspomnianą leśną, piaszczystą drogą przez Dobrynin i Niwiska, że w czasie tej jazdy spotkał 10 BKZmot. Ale przecież nie mógł Brygady spotkać na tej drodze, bo 10 BKZmot. nią nie przejeżdżała. Ona jechała przez Mielec. Wiadomości z przejazdu *przez* kolbuszowski rynek są bardziej ściśle. Ale przeczytajmy cały fragment związany z Kolbuszowszczyzną z "Polskiej jesieni":

"Las pełen był jeszcze mroku. Noc rozcięczona i wystygła, wsiąkała

6 W. Steblik, op. cit., s. 287.

szybko w suche poszycie w wysokie pnie, których nie kończące się szeregi obstępowały nas coraz dalszymi kręgami... Górą jednak było już jasno. Poprzez poplątane konary kokietowały na świetlistą bielą maleńkie obłoczki, podobne do młodych rybek w przejrzystej głębi stawu... Droga była ciężka, po miąkkim piachu i korzeniach leśnego traktu, a nasz działon miał za sobą pół nocy pościgu za baterią. Na szczęście ciągnęły się teraz przed nami kolumny piechoty i tempo marszu stawało się ślimaczo leniwe. Dzień przenikał w głąb lasu coraz jaskrawiej... Kiedy znaleźliśmy się w końcu na szczycie wzgórza, ujrzelśmy małą grupkę ludzi, idących naprzeciw nas skrajem leśnego cienia. Byli to cywile - mężczyźni i kobiety - zdrożeni i objuczeni tobołami, jak wszyscy ci, których spotykaliśmy na naszym szlaku. Jakiś młody chłopak pchał pracowicie rower z przytroczoną na bagażniku walizką.

- Dokąd idziecie? - spytałem go, kiedy zrównał się ze mną.

Odgarnął brudną ręką kosmyki włosów z czoła i przyjrzał mi się z tępyim osłupieniem. - Uciekamy z miasta - rzekł powoli.

- Z jakiego miasta?

- Z Kolbuszowej.

- Po co? Dokąd?

Milczał długą chwilę, mrugając niepewnie, zanim wyksztusił wreszcie odpowiedź. - Mówili, że Niemcy przyjdą...

Oburzyło mnie to. - Bzdury! Już sami nie wiecie, co robić ze strachu. Przecież my tam właśnie idziemy. Zawróćcie lepiej.

Zostawiłem go wspartego brzuchem o ramę roweru. Pograżonego w głębokiej medytacji. Gdy obejrzałem się przez ramię, spostrzegłem, jak naradzał się z towarzyszami, pokazując ręką nasze działa. Widocznie nie zdołał ich jednak przekonać, bo po chwili ruszyli wszyscy w swoją stronę.

Teraz spotykaliśmy coraz więcej cywilów. Przemykali się wstydliwie bokiem, ścigani kpiącymi okrzykami żołnierzy. Zresztą byli nieliczni. To nie był ten tłum, uciekający w ślepym popłochu, który tamował drogi po tamtej stronie Dunajca. Raczej awangarda najostrożniejszych, wyruszających zawczasu do z góry obmyślonych kryjówek po wsiach odległych od torów wielkich wydarzeń.

Wciąż brnęliśmy pieszko koło zaprzęgów, kiedy w lesie, nad samym skrajem drogi, zauważyłem samotnie wędrującą postać, zupełnie różną od wszystkich mijanych uciekinierów. Aż przystanąłem ze zdziwienia. - Listonosz. W brązowym mundurze kroczył rześkim, służbowym krokiem ze skórzaną torbą, przewieszoną przez ramię. Pośpiesznie wydobyłem z kieszeni list i zastąpiłem mu drogę.

- Niech mi pan to nada gdziekolwiek - namawiałem go - przecież poczta chyba chodzi... - Robił wrażenie okropnie speszonego.

- Może i chodzi, panie podchorąży - bąkał - ale nie tu... Bóg raczy wiedzieć gdzie.

- A w Kolbuszowej?

Wzruszył ramionami. - Nie wiem, panie podchorąży. Połączenie przerwane, może naprawią... Rozłożył bezradnie ręce, posyłając na pół smutny, na pół ironiczny uśmiech w gąszcz sosnowych gałęzi nad moją głową.

"Lewa wolna" - krzyczano od tyłu. Wzmagający się warkot podpływał coraz bliżej, aż nagle niski, wojskowy "łazik" minął mnie z brzękiem i znikł za zakrętem poniżej, wzbijając obłok białego pyłu. Pozostała mi w oczach wyprostowana sylwetka młodego oficera. Stał wsparty dłonią o przednią szybę, a jego twarz pod maską kurzu wydawała się posągowo nieczuła na pęd skwarne powietrza. Teraz łoskot-maszyn stał się cięższy, cała szosa zaczęła drzeć, jak rozpędzony pas transmisyjny. Długą kolumną toczyły się z góry piękne, kamuflowane ciężarówki, ciągnik na gąsienicach, wlokąc za sobą podskakujące jaszczki i ciężkie działa, umajone przywiedłą zielenią. Przyciskałem mierzyna do zaprzęgu i urzeczonym wzrokiem chłonałem ten pochód przewalającej się mimo nas siły. Znałem ich. Widywałem nieraz na defiladach oddziały zmotoryzowanej brygady ze Stryja. Takie wspaniałe wojsko. W otwartych wozach helmy siedzących w dwa rzędy obsług podskakiwały równiuteńko, jakby i one były częścią pędzącej maszyny. Kierowcy wychylali ku nam głowy. Ich twarze też szare były od potu, a uśmiech pozdrowienia rzeźbił się w nich twardym, prawie bolesnym pęknięciem.

- Takim to dobrze - westchnął z zazdrością Kud. - Jada se jak pany.

Jechali wciąż z dudnieniem i charkotem, wszyscy jednacy, bez najmniej szego śladu zużycia. W porównaniu z nimi wydawali się nikli i nędzni.

- Najlepsze wojsko - rzekł z szacunkiem jezdny szpicowy.

- Widziałeś - powiedział Marchewka. - Cała armia powinna tak wyglądać, cholera!

Miasteczko wydawało się czyste, nawet wesołe. Tak; było wesołe i ożywione jak żadne z tych, przez które przejeżdżaliśmy dotychczas. Ludzie śmiali się do nas z chodników, pozdrawiali przyjaznymi gestami, a zgrabne pensjonarki w satynowych fartuszkach i białych kołnierzykach podbiegały ku nam z dzbankami pełnymi wody z malinowym sokiem. Spieszyły się bardzo, żeby wszystkim nastarczyć, zarumienione śmigły tam i z powrotem przez furki małych ogródków i dreptały przy koniach, póki nie oddało im się pustej szklanki. Mimo to nie mogliśmy nie zauważyć powybijanych tu i ówdzie szyb, podłużnych chłaśnieć cekaemowych serii na białych ścianach zasobnie wyglądających domków i pociętych drutów telegraficznych, zwisających w nieładzie do samej ziemi.

Zaraz na początku ulicy dostrzegłem na murze czerwoną skrzynkę. Wjechałem na chodnik. - Czy poczta chodzi? - spytałem wracającą z pustym dzbankiem panienkę. Zmartwiła się zalotnie. - Niestety, proszę pana. Zamknęli po nalocie. - Ale kiedy cofałem już rękę z listem, rozpromieniła się z przymilną ufnością. - Nic nie szkodzi, niech pan wrzuci. Teraz będzie na

pewno znowu czynna. Na pewno. - Owo "teraz" sprawiło, że przez chwilę miałem złudzenie marszu naprzód, a nie odwrotu.

Przed wejściem na rynek musieliśmy się zatrzymać i czekać długo w skwarze brzęczącym setkami męskich głosów. Ulica zatkana była po brzegi piechotą. Komiśny zapach wełny, juchtowej skóry i potu stał w powietrzu nieruchomym oparem.

Ruszyliśmy wreszcie, ale było to deptanie prawie w miejscu, pełne irytujących przystanków. Minęło jeszcze dobre pół godziny, nim wydostaliśmy się na rynek. Wielki, kwadratowy plac wypełniony był po brzegi szarozieloną masą wojska. Znać jednak było w tym wszystkim jakiś ład. Wąskie miedze odgraniczały od siebie trzony poszczególnych formacji. Piechurzy siedzieli przeważnie na ziemi. Przy oddziałach artylerii, taborów i pontonów bataliony ich wyglądały jak zagony zgniecione wiatrem. Samochody, furgony i sprzęt wszelkiego rodzaju wypełniały szczelnie wszystkie przylegające ulice. Tu i ówdzie wznosiły się nad ciżbą leniwe dymki z kuchni polowych. To była koncentracja - nie ulegało wątpliwości. Koniec naszego błędzenia, początek realnej, wojennej akcji. Wolno przebijaliśmy się wąskim szpalerem na drugą stronę placu. W ścisku ktoś potracił mojego mierzyna. Kapitan Jordan przepychał się mozolnie ku czołu baterii, a tuż za nim Redycz, z rozpiętym mapnikiem na piersi. Jordan gniótł ostrogami swego konia, nie patrząc przed siebie. Twarz, zasepioną bardziej niż zwykle, odwrócił przez ramię i niecierpliwie tłumaczył coś porucznikowi. - Idioci! - usłyszałem, gdy mnie mijał. - Nie będę tu stał; nie ma głupich. W pierwszej wsi za miastem, ale nie tu.

Przedostaliśmy się w przeciwną uliczkę, która otwierała się wkrótce na rozległe, wąskimi półkami pokreślone *wzgórze*. Domy rozstępowały się tu coraz szerzej. Wkrótce też skończył się bruk, a ulica zamieniła się w szeroki, rozjeżdżony gościniec. Było tutaj znacznie luźniej, ale pod górę posuwaliśmy się bardzo wolno, oszczędzając zmęczonych długim marszem i upałem konie.

Z obu stron na przyległych do miasta polach kręciło się pełno wojska, całe kompanie koczowały grupami wśród rozrzuconych wokół zabudowań. Równoległymi do gościńca drózkami wędrowały luźne oddziały piechoty i taborów. Dużo nas było. Wszędzie działo się coś ciekawego...

Teraz po obu stronach drogi zaroilo się od kawalerii. Napływała od tyłu szeroka ławą, depcząc po zagonach zaoranej roli i zetlałych w słońcu ziemniaczyskach. To było piękne wojsko. Konie dobrane maścią w szwadronach szły lekko i kapryśnie, jak na defiladzie. Nowiutkie hełmy francuskie lśniły matowo, czapraki i siodła zółciły się z daleka *magazynową* świeżością. Wsparci kułakiem o uda jeźdźcy prężyli się na grzbietach swych wierzchowców z jakimś anachronicznym wdziękiem i butą.

Ci nie wyglądali na cofających się. Może mieli za sobą jakieś zwycięstwa, o których wieść nie mogła dotrzeć do takich zbłąkanych łązików, jak my. Po drugiej stronie wzgórza gościniec opadał łagodnie ku dużej wsi"⁷.

Tak Jan Józef Szczepański z Krakowa przedstawił po wojnie, w "Polskiej jesieni", swój przejazd, w szeregu wojskowym przez Kolbuszowę w dniu 8 września 1939 roku. Kilka z tych białych domków, przy których śmigwały pensjonarki - gimnazjalistki, miały zostać ofiarami pożaru już wieczór następnego dnia. Koncentracja, tak oczekiwana przez tego podchorążego, miała się odbyć z konieczności wobec wkroczenia Sowieców, na Lubelszczyźnie.

Jan Józef Szczepański wjechał do Kolbuszowej, z pewnością od strony Przecławia, Dobrynia i Nowej Wsi, w ulicę 3 Maja (teraz Obrońców Pokoju). Tam wtedy na ścianie budynku Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół" (dzisiejszy Dom Kultury) znajdowała się skrzynka pocztowa. I tam również, wówczas było, chociaż w głębi ulicy, kilka starych drewnianych domów z gankami, o wyglądzie dworców, otoczonych pędami dzikiego wina oraz panienek - gimnazjalistek, o wyglądzie pensjonarek. Autor "Polskiej jesieni" widział te domki w ostatnim dniu ich istnienia. Następnego dnia w czasie bitwy większość ich uległa spaleni. Uciekinierzy, napotkani przez J. J. Szczepańskiego przed Kolbuszową, musieli pochodzić ze wsi, do których dążyli, udając się na zachód, a nie w przeciwnym kierunku, gdzie posuwał się ogół uciekinierów.

Nie powiedziano dotąd, że "Motyl 10" opuścił Werynię już 7 września. W tym dniu dysponował on już, tylko trzema "Karasiami", dwiema "Czapłami" i dwoma samolotami RWD-8. Z rana, tego dnia, dwa "Karasie" poleciały jeszcze na rozpoznanie, ale w południe, dowódca eskadry otrzymał polecenie wyszukania nowego lotniska polowego w rejonie na północ od Jarosławia. Dwa RWD-8 zaraz wyleciały. Po dwóch godzinach wróciły. Znalazły na nowe lądowisko rozległe pole, obok miasteczka Cieszanów, oddalone o ponad czterdzieści kilometrów na północ od Jarosławia. Zaraz wyruszyła tam czołówka techniczna, mająca przyjąć przylatujące samoloty. Reszta personelu technicznego zwijała swoje stanowisko. Nie mogła zabrać posiadanych bomb i całego sprzętu. Bomby zakopała, część sprzętu zniszczyła. Kilkanaście beczek z benzyną oddano 23 eskadrze obserwacyjnej z Krakowa, która przybyła do Weryni. "Motyl 10" odleciał⁸.

W dniu 8 września przesuwająca się przez ziemię kolbuszowską masa osób wojskowych, w niej trzej generałowie z GO "Boruta". Byli to: gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, który udawał się z rana z Mielca do Rzeszowa; gen. Bernard Mond, który był w południe i wstąpił do budynku

7 Jan Józef Szczepański, *Polska jesień*, Kraków 1988, s.s. 122-129.

8 Waclaw Król, *Front bez myśliwców*, Warszawa 1979, s.s. 93, 94.

pocztowego przy ulicy J. Piłsudskiego oraz gen. Józef Kustroń. Gen. Mond na poczcie uzyskał połączenie z gen. Kazimierzem Fabrycym w Przemyślu. Gen. Kustroń jechał wieczorem lub w nocy. Rano był w Sokołowie Młp.⁹.

Wojskowi, którzy byli ósmego września 1939 r. w Kolbuszowej, odeszli czy odjechali w stronę Raniżowa i Sokołowa. Jednak kilku z nich, z końmi, było jeszcze tego dnia, wieczorem, na wzniesieniu, porośniętym sosnami, znajdującym się przy ul. J. Piłsudskiego, koło stadionu. Wtedy na miejsce podjechali Niemcy, na dwóch czy trzech motocyklach. Władysław Steblik przypuszcza, że był to zwiad z 4 dywizji lekkiej, który spod Sędziszowa, zamiast do Rzeszowa, przyjechał do Kolbuszowej. Nastąpiła tam wówczas wymiana strzałów, ale nie była to bitwa. Niemcy wycofali się. Tymczasem ludzkie języki zrobiły z tego bitwę.

W następnym dniu, 9 września, w sobotę, z rana, przesuwała się przez Kolbuszowę część żołnierzy polskich ku Weryni. Trochę później, w godzinach południowych dwa ostatnie oddziały polskie przyszły z Mielca. Były to: powiększone w drodze przez "odpryski" z innych oddziałów 4 krakowski batalion forteczny, dowodzony przez porucznika Andrzeja Krawca i batalion "Wołożyn" z 1 Brygady Górskiej KOP, dowodzony przez kapitana Tymkiewicza. 4 krakowski batalion forteczny doszedł do rynku w Kolbuszowej, gdzie zatrzymał się, dla odpoczynku i zjedzenia obiadu. Batalion "Wołożyn" nie dotarł już do miasta. Kapitan Tymkiewicz zatrzymał go, prawie trzy kilometry przed nim, pod lasem, przynależnym do wsi Świerczów, nad małą rzeczką, a żołnierze rozciągnęli się, aż na zachodni, znajdujący się przy szosie do Mielca skraj pobliskiej wsi - Kolbuszowa Dolna. Te dwa bataliony wkrótce walczyły z Niemcami tam, gdzie się znalazły. Walczyli z 1 batalionem 2 dywizji pancerniej, który przyjechał, na czele całej dywizji, leśną drogą od Rzemienia do podkolbuszowskiej Nowej Wsi, a nawet dotarł na wzgórze pod miastem, przez które prowadzi droga z Niwisk i Nowej Wsi do Kolbuszowej. Wzgórze to, niegdyś nazywano Krokwią. Droga, idąca przez nie, staje się w mieście ulicą. Dawniej była to ulica 3 Maja, dzisiaj ul. Obrońców Pokoju.

Niemcy, gdy stanęli na Krokwi, nie widzieli miasta. Leży ono u stóp wzgórza, w kotlinie nad Nilem. Wznosi się jeszcze nad nim zieleń rosnących drzew. Natomiast dawniej, przed sześćdziesięcioma laty, gdy domów w Kolbuszowej było o wiele mniej, widać było, przez rozległe pola, zachodni skraj Kolbuszowej Dolnej, rozłożony przy szosie do Mielca. W dniu 9 września Niemcy, stojący na Krokwi, zauważyli, z pewnością przez lornetki pod Świerczowem i Kolbuszową Dolną, żołnierzy polskich z batalionu "Wołożyn" i - ostrzelali ich.

Kapitan Piotr Tymkiewicz, dowódca "Wołożyna" nie musiał przyjmować pod Kolbuszową bitwy z Niemcami, znajdującymi się w znacznej odległości

⁹ W. Steblik, op. cit., s. 256. Gen. J. Kustroń omal nie zginął w czasie przeprawy przez Dunajec pod Biskupicami, a zginął w dn. 18.09 koło Lubaczowa.

na południe od jego batalionu. Mógł ukryć się, z żołnierzami, w pobliskim lesie i pomaszerować w przeciwną od najeźdźców stronę. On jednak nie chciał uciekać przed wrogiem i bił się z nim. Po wojnie napisał wspomnienie o tym starciu pod Kolbuszową i przekazał je oficerowi Władysławowi Steblikowi, autorowi książki "Armia "Kraków" 1939". W. Steblik zamieścił uzyskane informacje, najpierw, w 1968 r., w czwartym numerze Wojskowego Przeglądu Historycznego w artykule pod tytułem "Akcja kpt. P. Tymkiewicza od szosy mieleckiej", potem w swojej książce. Przeczytajmy to wspomnienie.

"Po walce nad Dunajcem 7 września część batalionu KOP "Wołożyn" z odpryskami innych oddziałów, o ogólnej sile dwóch kompanii strzeleckich (po około 180 ludzi) i pół kompanii ckm (80 ludzi, 5 ckm, 8 biedek), pod dowództwem kpt. P. Tymkiewicza cofało się od Żabna na Mielec - Kolbuszowę. Przekroczywszy 9 września, w godzinach rannych potok za lasem Siedlanka, zatrzymano się na chwilowy postój, zamierzając po uporządkowaniu się, pomaszerować do Kolbuszowej. Jednak około godz. 10⁰⁰ odezwały się krótkie serie z pistoletów maszynowych z kartofliska po południowej stronie drogi. Około godz. 11⁰⁰ ogień się wzmógł. Na szosie mieleckiej powstał niepokój, a nawet zawracanie w stronę lasu różnych "odprysków", uważając, że ogień ten prowadzi jakiś nieznaczący oddziałek nieprzyjaciela, rzucony dla zakłócenia polskiego odwrotu, kpt. Tymkiewicz zdecydował się odrzucić go poza wzgórze w Nowej Wsi. W tym celu rozwinął obie kompanie (z 5 ckm-ami) wzdłuż szosy, aż niemal po północno-zachodnie zagrody Kolbuszowej Dolnej i ruszył z nimi do natarcia na wzgórze. Strzelcy parli brawurowo do przodu. Jednak w miarę odrywania się od szosy i zagród ogień nieprzyjaciela, początkowo słaby, wzrastał się coraz bardziej. W rezultacie natarcia zaległo w odległości 100-150 m przed szczytem wzgórza. Artyleria niemiecka otworzyła ogień na szosę i zagrody przy niej, a niebawem także na miasto, wzniesając pożary. Ostra walka (nasza) trwała dosyć długo, powodując liczne straty w rannych i zabitych. Gdy na wzgórzu pojawiły się czołgi (około 7-8) i ziały ogniem na szosę i miasto, kpt. Tymkiewicz zdecydował się ratować swoje resztki. Wydał rozkaz wycofania się do lasu na swoich północno-zachodnich tyłach. Wycofanie do tego lasu udało się tylko drobnej grupie żołnierzy. W tym czasie Kolbuszowa stała już w ogniu i w dymie"¹⁰.

Tak kpt. Piotr Tymkiewicz przedstawił swoją bitwę z Niemcami, w dniu 9 września 1939 r pod Kolbuszową na polach, rozciągających się pomiędzy drogą do Nowej Wsi, a zachodnim skrajem wsi Kolbuszowa Dolna. Żołnierze, Podhalańczycy z Suchej, z batalionu "Wołożyn" poszli na rozkaz dowódcy, na rozległe, niczym nie zasłonięte pole i bardzo duża ich część zginęła. Zabitych później zwieziono na kolbuszowski cmentarz. Część tych,

10 W. Steblik, op. cit., s. 246, Wojskowy Przegląd Historyczny, nr 4 z 1968 r.

którzy ocaleli pojechała podczas bitwy czy po niej, na wojskowych wozach do Kolbuszowej. Kapitan Tymkiewicz z resztą swoich ludzi odszedł przez Świerczów i Dąbrówkę do Cmolasu.

Niemcy z 2 dywizji pancерnej, może walcząc jeszcze z batalionem "Wołożyn", a może już rozgromiwszy go, ruszyli szosą, przy której byli, motocyklowym zwiadem, w dół, do Kolbuszowej. Mieli do niej niepełny kilometr. W mieście, na rynku, znajdował się 4 krakowski batalion forteczny, dowodzony przez porucznika Andrzeja Krawca. Było to już chyba przed godziną piętnastą. Pogoda tamtego września była upalna. Słońce prażyło. Por. A. Krawiec i jego trzech czy czterech koledzy - oficerowie, byli po obiedzie, w restauracji Władysława Zacha, tutaj, gdzie dzisiaj jest sklep "Orion". Batalion miał wystawione, jak należało, ubezpieczenia na ulicach, na których mogli zjawić się Niemcy. Była czujka na ulicy 3 Maja, w ogrodzie jednego z tych drewnianych, mieszczkańskich domów, wyglądających jak dworki. Ta postawiona straż zauważyła ostrożnie nadjeżdżający od Nowej Wsi, zwiad niemiecki. Pewnie dowódca ubezpieczenia wystrzelił z pistoletu. Zawiadomił swoich o niebezpieczeństwie. Zaraz rozpoczęła się strzelanina. Zaczęła się bitwa w mieście Kolbuszowa 4 krakowskiego batalionu fortecznego z pierwszym batalionem 2 dywizji pancерnej.

Bitwę tę po wojnie, w roku 1967, opisał Władysławowi Steblikowi, porucznik Andrzej Krawiec, dowódca polskiego batalionu, awansowany już, tak, jak i kpt. Piotr Tymkiewicz, o jeden stopień wyżej. Władysław Steblik opublikował wypowiedź A. Krawca w 4 numerze Wojskowego Przeglądu Historycznego z 1968 r. i potem ujął ją w swojej książce. W tym czasie, pan Andrzej Krawiec przyjeżdżał już do Kolbuszowej. Ściągnął go tutaj, prawdopodobnie mgr Adam Bauer, ówczesny dyrektor kolbuszowskiej Szkoły Zawodowej, urodzony w Chorzelowie koło Mielca. Służył on w pierwszych dniach września 1939 r. jako podporucznik w którymś z oddziałów Armii "Kraków" na ziemi mieleckiej, stał się "odpryskiem" od tego oddziału, przyłączył się do spotkanego 4 batalionu fortecznego, przyszedł z nim do Kolbuszowej i brał udział w toczonych tutaj bitwach. Pan Andrzej Krawiec przyjeżdżał, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych do Kolbuszowej, odwiedzał groby żołnierzy; swoich podkomendnych, poległych tutaj we wrześniu 1939 r., odbywał spotkania z młodzieżą szkolną i dorosłymi kolbuszowianami, opowiadał im swoje losy. Żył wówczas w Kolbuszowej Kazimierz Aleksander Skowroński, doktor - historyk, profesor Szkoły Rolniczej w Weryni, prezes społecznego towarzystwa regionalnego, Towarzystwa Opieki nad Zabytkami imienia Juliana Macieja Gosłara, dzisiaj noszącego nazwę Towarzystwa Kultury. Doktor opracowywał zagadnienia z przeszłości Kolbuszowej i jej okolic. Drukował je w "Biuletynie" Towarzystwa. Był też zainteresowany kolbuszowską, wrześniową bitwą. Andrzej Krawiec dał dr Skowrońskiemu swoje zdjęcie sprzed 1939 r. i przekazał wspomnienie o bitwie, które wydrukowano w 10 numerze "Biuletynu" Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Jego treść zostanie

tutaj przytoczona. Wcześniej jednak będzie podane, trochę danych z życiorysu Andrzeja Krawca, uzyskanych przez autorkę tych słów. Miałam przyjemność poznać pana Andrzeja Krawca, kapitana rezerwy Wojska Polskiego, być z nim na tutejszym cmentarzu i słuchać opowiadań o bitwie.

Andrzej Krawiec urodził się 25.IV. 1911 roku, w rodzinie chłopskiej, we wsi Trinitatis w powiecie bocheńskim, jako syn Tomasza i Salomei z Dygów. Szkołę powszechną ukończył w rodzinnej miejscowości, Gimnazjum w Bochni, po czym przez rok studiował prawo na UJ. W jesieni 1930 roku porzucił studia i wstąpił do służby wojskowej. W latach 1930-1933 skończył Szkołę Podchorążych Oficerów Służby Stałej w Komorowie koło Ostrowii Mazowieckiej. Był wysokim blondynem, o niebieskich oczach i pogodnym usposobieniu. Po Szkole Podchorążych dostał przydział do 2 Batalionu 20 pułku piechoty "Ziemi Krakowskiej", który stacjonował w Tarnowie. W styczniu 1936 roku otrzymał awans na porucznika, a dwa lata później stanowisko instruktora w krakowskiej Szkole Podchorążych. Tu zastał por. Krawca dzień 1 września 1939 roku. W dniu 3 września skierowano go do organizowanego przez 20 pułk piechoty batalionu zapasowego, czyli 4 batalionu fortecznego, batalionu, z którym przywędrował do Kolbuszowej.

Oto wojenne wspomnienia pana Andrzeja Krawca:

"Udział IV baonu fortecznego 20 p.p. w boju pod Kolbuszową w dniu 9.IX. 1939 r. (wspomnienia dowódcy)".

3 września 1939 roku.

Wieczorem tego dnia, po nieudanym zorganizowaniu Szkoły Podchorążych 6 DP, a której to Szkoły miałem być komendantem, zostałem przydzielony do zapasowego batalionu 20 p.p., organizującego się w koszarach 20 p.p. w Krakowie.

4 września

W godzinach rannych zameldowałem się u dowódcy baonu (batalionu) kpt. rez. Batko i d-ca baonu, zadowolony z mojego zgłoszenia się (byłem w tym baonie jedynym oficerem służby czynnej) powierzył mi pełnienie obowiązków adiutanta baonu. Dowiedziałem się, że baon ma wejść w skład grupy obrony Krakowa. Około godz. 8⁰⁰ - dowódca baonu otrzymał rozkaz, bodajże od płka Gwelesiani, natychmiastowego wymarszu drogą przez Tarnów do Rzeszowa. W chwili otrzymania rozkazu skład baonu był następujący: trzy kompanie strzeleckie po około 160 ludzi i kompania ckm (ciężkich karabinów maszynowych) - 62 ludzi. Kompanie dowodzone były przez oficerów rezerwy - 1 komp. ppor. rez. Balcer, 2 komp. - ppor. rez. Sanicki, 3 komp. ppor. Janicki, komp. ckm - por. rez. Rożanowicz. Plutonami dowodzili oficerowie i podoficerowie w stopniach kapral i plutonowy.

Uzbrojenie batalionu: karabiny ręczne, 3 ckm bez biedek (jednokoło-

wych, dwukołowych wózków), po trzy jednostki amunicji do kb., po trzy taśmy amunicji do ckm i po 1 granacie na strzelca.

Baon nie posiadał kuchni ani jakiegokolwiek taboru, posiadał jedynie motocykl "Sokół" z przyczepą. Przed rozpoczęciem marszu baon zaopatrzył się w cztery dwukonne podwozy, na które załadował ckm, po trzy na jedną. Na czwartą podwozę załadowaliśmy konserwy i suchary, zabrane z magazynu żywnościowego 20 pp. Przed wymarszem każdy żołnierz pobrał z magazynu żywnościowego po jednej konserwie i po jednej paczce sucharów, które miał zatrzymać, jako żelazną porcję. W sumie baon miał wyżywienie na trzy dni. Około godz. 10⁰⁰ rozpoczął nakazany marsz.

Po dojeździe do Wieliczki skierował się na boczną drogę, północną, równoległą do głównej szosy, gdzie przekroczył rzekę Rabę, żeby w późnych godzinach wieczornych osiągnąć Bochnię. Wcześniej w Grodkowicach d-ca baonu wyjechał na motocyklu do Bochni w celu zorganizowania kolacji dla baonu i więcej go nie oglądaliśmy. W Bochni kolacji nie było.

5 września

Tego dnia na zbiórce baonu ogłosiłem się „samozwańczo” d-cą baonu, a na adiutanta powołałem ppor. Warchałowskiego. Od godziny 5⁰⁰ rano baon kontynuował marsz szosą na Tarnów. Około godz. 7⁰⁰ kolumnę baonu wyprzedza sztab GO "Bielsko" ("Boruta"), gen. Boruty- Spiechowicza. Generał, po przyjęciu ode mnie meldunku o zadaniu baonu, przekazał mi wykonanie następującego zadania: szosą Bochnia - Tarnów maszeruje kolumna artylerii, mam ubezpieczyć jej przejście, obsadzając wzgórza na południe od szosy, okrakiem na drodze Zakliczyn - Wojnicz. We wczesnych godzinach popołudniowych baon zostanie zluźniony przez baon strzelców podhalańskich. Zadanie wykonałem. Około godz. 14⁰⁰, przekazałem strzeżony odcinek baonowi p. sp. (pewnie pułku strzelców podhalańskich). Otrzymałszy wiadomość, że kontynuowanie marszu na Tarnów jest niebezpieczne, poszedłem z baonem drogą na północ, na Wojnicz - Bogumółowice - Wierzchosławice, do widel rzek Dunajec - Biała, przeprawiając się przez Dunajec poniżej ujścia Białej. Przeprawa została zakończona ok. godz. 17⁰⁰.

Po przeprowieniu się przez Dunajec, baon został podporządkowany d-cy obrony Dunajca i otrzymał zadanie obrony tej rzeki na południowym skrzydle oddziału, organizującego już obronę do wysokości ujścia rzeki Białej, zadanie obrony skrzydła od południa, z kierunku Mościce.

6 września

Baon umacniał stanowiska obronne, żołnierze zajęci budową dołów strzeleckich, mogli odpocząć po trudach odbytego, w ciągu dwu poprzednich dni, około 100- kilometrowego marszu. Dzięki temu postojowi mogłem zor-

ganizować baonowi obiad, rekwirując w okolicznych wioskach, świnie, ziemniaki, przygotowując ciepłą strawę w wiejskich domach. Do spożycia obiadu żołnierze dochodzili plutonami, na zmianę z każdej kompanii.

Wysyłane patrole na Tarnów, meldowały o dużych ruchach naszych wojsk w kierunku wschodnim. W ciągu dnia obserwowaliśmy dosyć dużą aktywność npla (nieprzyjaciela). Tak zastała nas noc z dnia 6 na 7 września.

7 września

Około godz. 5⁰⁰, d-ca plutonu sąsiadującego z północnym baonem obrony zameldował mi, że sąsiedzi opuścili Dunajec, wycofując się na wschód. D-ca wycofującego się baonu nie zawiadomił mnie o swojej decyzji, pozostawiając mnie swojemu losowi. Dałem rozkaz baonowi, przygotowania się do wymarszu. Chcąc uniknąć tłoku na szosie Tarnów - Dębica, obawiając się działań lotnictwa nieprzyjacielskiego, wybrałem kierunek wymarszu -Lisia Góra - Radomyśl Wielki. Około godz. 11⁰⁰, baon dochodził do lasu na wschód, od miejscowości Wesoła. W lesie zatrzymałem baon na postój. Aktywność lotnictwa zwiadowczego npla była duża, ludzie zmęczeni, coraz więcej maruderów. W późnych godzinach popołudniowych, baon dochodzi do Radomyśla. Przed miastem spotykam oficera sztabu DPG, który poinformował mnie o położeniu dywizji i nakazał marsz na Mielec. Wieczorem baon doszedł do miejscowości Piątkowiec (pod Mielcem).

8 września

Około godz. 6⁰⁰ baon kontynuuje marsz na Mielec. Po wyjściu z lasu został on zaatakowany bronią pokładową trzech samolotów npla, nadlatujących od strony Mielca. Samoloty zostały ostrzelane ogniem 3 kompanii, maszerującej w straży przedniej. W wyniku nalotu, jeden nasz żołnierz został zabity. Dałem polecenie pochowania go w lesie Piątkowiec, rozkazując zabranie znaczka tożsamości. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że nikt z żołnierzy nie posiada tego znaczka. Nazwisko poległego zostało odnotowane przez adiutanta baonu.

Baon przeszedł Wisłokę mostem pod samym Mielcem i zatrzymał się na południowym krańcu miasta. Było ono zatłoczone różnymi oddziałami wojskowymi, szczególnie maruderami i uciekinierami. Patrole, wysłane dla odszukania sztabu dywizji, meldowały, że oddziały wojskowe maszerowały tak na północ, jak i na wschód. Zdecydowałem się iść na wschód, na Kolbuszowę. W Krakowie dostałem przecież zadanie - marsz do Rzeszowa. Ostatecznie o wyborze kierunku zadecydowała uzyskana informacja, że sztab GDP udał się w godzinach rannych, do Kolbuszowej. Baon ruszył do marszu i osiągnął w godzinach wieczornych skraj lasu obok miejscowości Przyłęk. Zatrzymał się na postój ubezpieczony. Dałem zezwolenie na zje-

dzenie żelaznej porcji. Żołnierze coraz bardziej zmęczeni, z obolałymi nogami. Przez minione pięć dni ubyło z baonu 37 ludzi, nie wytrzymujących trudu marszu. Niektórzy pozostawali bez zezwolenia, inni prosili o zezwolenie pozostania pokazując poobcierane nogi. Morale innych było dosyć dobre. W utrzymaniu dyscypliny wiele pomogli mi koledzy - oficerowie i podoficerowie i sami szeregowi, którzy humorem nierzadko śpiewem, podtrzymywali na duchu słabszych.

Po drodze z Mielca do Kolbuszowej włączałem do baonu napotkanych maruderów. Przez noc w Przyłęku, do czasu wymarszu baonu do Kolbuszowej zebrano i włączono do baonu około dalszych 100 strzelców, maszerujących grupami, z różnych oddziałów, jak 49 p. KOP, pułków Strzelców Podhalańskich i innych jednostek.

9 września

Rano 9 września przed wymarszem do Kolbuszowej, baon liczył około 700 żołnierzy. Ruszyliśmy. We wsi Siedlanka dowiedziałem się od mieszkańców, że dnia wczorajszego w m. Kolbuszowa była walka. Zatrzymuję baon w lesie, na zachodnim skraju, wysyłając do Kolbuszowej, na rozpoznanie pluton pod dowództwem ppor. Warchołowskiego, mojego adiutanta. Dałem mu do dyspozycji mojego konia, żeby mi złożył jak najszybciej meldunek. Około godz. 11⁰⁰ ppor. Warchołowski powrócił z wiadomością, że Kolbuszowa jest wolna. Po tym meldunku baon pomaszerował do Kolbuszowej, którą osiągnął około godz. 12⁰⁰. Zatrzymałem go na rynku, ubezpieczając się z kierunków Sędziszów i Przecław. Od strony Rzeszowa nie ubezpieczałem się, gdyż już w samej Kolbuszowej minął mnie jakiś oddział artylerii, od którego dowiedziałem się, że ma rozkaz jak najszybciej dotrzeć do Rzeszowa. Podczas odpoczynku baonu, staram się zebrać wiadomości o położeniu naszych wojsk. Żołnierze z obcych oddziałów niewiele mogą mi powiedzieć. Twierdzą, że oddziały ich zostały rozbite, a dowódcy polegli. Nie spotykam oficerów. Spotykam dwa działony artylerii. Dowodzi nimi ogniomistrz, którego podporządkowuję sobie.

Około godz. 12³⁰ popłoch, od strony Raniżowa nadjeżdżają jakieś samochody. Nim zdążyłem podjąć jakąś decyzję, do rynku wjechało 9 samochodów ciężarowych, polskich. Z pierwszego wysiadł znany mi por. Pikuła z 12 p.p., w czasie wojny oficer sztabu GDP (DPG). Przywiózł rozkaz gen. Monda załadowania baonu na samochody i zawiezienia go do Ulanowa. Poprosiłem go, żeby samochody zawróciły i przyjęły kierunek marszu, a sam wezwałem d-ców kompanii do dokonania podziału baonu na grupy załadowcze. W czasie oczekiwania na dowódców - zaczyna się "groteska". W środek baonu, na rynek wjeżdża niemiecki samochód - cysterna. Samochód zatrzymuje się. Dopadamy do niego, wyciągając kierowcę, który jest sam. Woła on po czesku, że jest Czechosłowakiem sudeckim. Nim zdąży-

łem wyciągnąć z niego, skąd przyjechał, z wieży kościoła padły strzały. Zabity został mój koń, obok którego stałem. W następnej chwili słyszę strzelaninę z kierunku, gdzie było moje ubezpieczenie. Podbiegam do miejsca, gdzie słyszę strzały. Widzę 5 czołgów stojących na drodze z kierunku Niwisk. Obok drogi, gdzie stoją czołgi, oparkowanie z desek.

Wracam na rynek do baonu. Daję rozkaz ppor. Balcerowi, d-cy 1 kompanii, wzmocnienie resztą plutonu walczącej już placówki. Przydzielam do tego plutonu 2 ckm. Drugiemu plutonowi plus 1 ckm kazałem zająć stanowisko w obronie na lewo od walczącego już plutonu. Trzeci pluton wyprowadzam bramą wjazdową z kamienicy, z zadaniem żeby biegnąc opłótkami, zasłonięci od strony czołgów, obrzucili je granatami. Wybiegający pluton został ostrzelany ogniem karabinów maszynowych od strony Nowej Wsi. Padamy na ziemię. Silny ogień nie pozwala ruszyć do przodu. Dałem rozkaz wycofania się na skraj miasta, także przygotowania do obrony. Powracam do rynku. D-cy kompanii oczekują mnie przy bramie wejściowej. Rozkazuję: kompania 2 zająć stanowiska obronne na prawo od kompanii 1, na skraju Kolbuszowa Dolna. Przydzielam jej pluton ckm. D-cy kompanii k. M. zwanemu w baonie "Dziadkiem", rozkazuję zabrać jeden ckm dla wzmocnienia obrony 1 kompanii, broniąc wejścia do Kolbuszowej. Kompanię trzecią z dwoma ckm-ami zabieram z sobą w celu zorganizowania obrony w odwodzie, na cmentarzu oraz wzdłuż zabudowań parafialnych. W drodze na cmentarz zastaję stojące tam jeszcze działony artylerii. Skierowałem je na stanowiska do zabudowań w Kolbuszowej Dolnej, przy szosie mieleckiej. Oddziały zajęły stanowiska. Z rejonu rozpoczęcia walki (ul. 3 Maja), dochodzi silny ogień karabinowy i pękających granatów. Oceniam sytuację. Z tyłu za stanowiskami kompanii odwodowej są dotąd nie obsadzone moimi żołnierzami zabudowania Kolbuszowej Dolnej przy drodze do Cmolasu. Trzeba tam kogoś przesunąć, żeby zabezpieczyć możliwość wycofania się nas, w wypadku braku możliwości dalszej obrony, biorąc pod uwagę nikły zapas amunicji. Posyłam tam jeden pluton plus jeden ckm i mojego adiutanta, który ma dopilnować obrony, włączając w nią grupy żołnierzy niezorganizowanych.

Udaję się na odcinek 1-wszej kompanii, na lewe skrzydło. Jest tu rzeczka Nil, kawałek otwartej przestrzeni i zabudowania. Tam nie ma nikogo. Łapię "Dziadka" i polecam zorganizować jakiś nieduży oddział, który mógłby tylko obserwować kierunek ze wschodu i z południa.

Ocena nieprzyjaciela - czołgom nie udało się pierwszym impetem zająć Kolbuszowej. Ulokowały się one na przedmieściu, wzdłuż drogi od strony m. Niwiska, skąd prowadziły ogień. Rowami, wzdłuż wymienionej drogi przemykały się grupy pieszych (niemieckich żołnierzy). Ze wzgórza od Nowej Wsi nieprzyjaciel w *dalszym ciągu ostrzetykuje miasto i skraj Kolbuszowej Dolnej*. Jakie siły jego kryją się w lesie od strony Niwisk - nie wiadomo. Działa on ostrożnie, może aż nazbyt ostrożnie, na nasze szczęście. Lekkimi czołgami i niezbyt dużym oddziałem pieszym, przy silnym ubezpieczeniu ogniowym ze

wzgórza stara się rozpoznać nasze siły. Zyskuje na czasie, ale na jak długo? Nie znał naszych możliwości obrony i czuł przed nami respekt.

Ale walka trwa. Na odcinku 1-wszej kompanii ciągle tylko wymiana strzałów. W rejonie drugiej kompanii spokój. Dlaczego? Czyżby Niemcy próbowali szukać rozstrzygnięcia w okrążeniu nas? Obserwuję teren Niwisk. Piesze grupy Niemców przesuwają się od zabudowań w kierunku 1-wszej kompanii. Wzmaga się ogień karabinowy z obu stron. Polecam ckm-om 2 kompanii ostrzelać, ogniem bocznym, przesuwających się pieszych. Byle jak najdłużej "nijaka walka", byle do zmierzchu. Stać było baon na przyjęcie obrony, ale nie na długo. Pomocy żadnej nie oczekiwałem, nikt o położeniu baonu nie wiedział. Pomocy może udzielić tylko noc.

Rozmyślania moje przerywa okrzyk - "z lasu czołgi". Kieruję lornetkę na las "Niwiska". Z lasu szeroką ławą, w towarzystwie pieszych, ruszają czołgi. "Działon ognia" - padają nasze dwa strzały. Czołgi znikają w zagłębieniu terenu pomiędzy lasem a wzgórzem. Nie wychodzą zza wzgórza. W tym samym momencie artyleria npla rozpoczyna ogień. Pociski padają na całej szerokości naszej obrony. Czołgi ruszyły do natarcia. Trwała walka. Z punktu dowodzenia na cmentarzu, Niemcy wdzierają się w rejon rynku. Słyszę silny ogień karabinowy i pojedyncze wybuchy granatów. Widzę wycofujących się żołnierzy z kompanii 1-wszej, z lewego skrzydła. Słyszę karabiny i wybuchy granatów z rejonu kamienic położonych naprzeciw rynku, nad rzeczką Nil. Walczą tam nasi żołnierze. Przybiega goniec z tej kompanii z meldunkiem - "Czołgi w rynku. Cofamy się". (Żołnierze cofali się do parku, zwanego Lipnikiem i w stronę Weryni). W chwilę potem otrzymuję meldunek z kompanii odwodowej, że u wylotu ul. Mieleckiej stoi unieruchomiony czołg, prowadzi jednak ogień. Po kilkudziesięciu minutach na rynek znowu spada nawała ognia artyleryjskiego. Wybuchają pożary. Obserwuję kierunek Niwiska. Jadą czołgi. Obydwa nasze działony otwierają ogień, ale czołgi posuwają się naprzód. Kompania 2-ga wycofuje się.

"Spalimy się. Mam wielu zabitych i rannych. Dwa ckm zniszczone, działon bez amunicji". Rozkazuję wycofać się poza Nil, w rejon trzeciej linii obrony, a w wypadku braku późniejszego kontaktu ze mną, wycofywać się na Ułanów.

Pada ostatni strzał działonu przy cmentarzu. Brak amunicji. Każę zniszczyć działo i wycofywać się z kompanią 2-gą. Ogień przeciwnika trwa. Czołgi podchodzą pod cmentarz. Obrona cmentarna otwiera ogień. Znowu w rynku słyszę czołgi. Z lewego skrzydła poza budynkami parafialnymi, biegnie goniec. "Brak amunicji, d-ca kompanii zabity". Koniec obrony. Czołgi na cmentarz szybko nie dostaną się. Przeszkodzi im mur cmentarny. Próbuję ratować resztki baonu. Z tyłu cmentarza, w kierunku północno-wschodnim jest wieś Zarebki. Może uda nam się tam dotrzeć. Liczę na zasłonę dymną płonącej Kolbuszowej. Daję rozkaz wycofania. Ja z moimi gońcami,

szybko podbiegam do plutonu trzeciej linii. Tam czołgów jeszcze nie ma. Kompanie obrony Kolbuszowej przechodzą tyralierą przez trzecią linię obrony, której daję polecenie - biegiem do tyłu. Biegniemy długimi skokami, przerywanymi dla nabrania oddechu. Ckm-y niesione są na zmianę.

Do Zarębek jeszcze około 300 m (może do weryńskiego lasu?). Wtem na wysokości naszej tyraliery zapala się jakiś rozbity samochód. Biegniemy do lasu. Oglądam się na Kolbuszowę. Płonie. Słychać jeszcze strzały. Płonie stóg siana. Znowu ogień artylerii. Nie robi to na nas wrażenia. Jesteśmy rozgoryczeni i zmartwieni. Wpadamy do lasu. Zatrzymuję baon. Trzeba zrobić bilans stoczony walki. Był on smutny. Ze stanu około 700 żołnierzy z Kolbuszowej, wycofało się około 300. Z relacji żołnierzy, naocznych świadków, wynikało, że poległo około 40 żołnierzy. Zostało także w Kolbuszowej wielu rannych i otoczonych w domach. Los ich jest nieznan. Największe straty poniosła kompania 2-ga, której około 80 % nie było wśród nas. Podobno polegli - ppor. Balcer, d-ca 1 kompanii i ppor. Warchałowski, adiutant baonu, wspinały żołnierz. W boju niemal przez cały czas był ze mną. Straty w uzbrojeniu - 5 ckm, oba działa i posiadana amunicja. Niemców także, podobno wielu poległo. Dwa czołgi zniszczone.

Czy była dla nas jakaś korzyść z boju stoczonego w Kolbuszowej? Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, jedno było tylko dla nas pewne, przynajmniej na dzień dzisiejszy zatrzymaliśmy bezkarny marsz Niemców na wschód, na północ, a to już było na pewno wiele. Podziękowałem dowódcom i żołnierzom za ich bojowość, odwagę, zdyscyplinowanie i poniesione trudy. Postanowiliśmy natychmiast maszerować do Ulanowa, żeby jak najszybciej połączyć się z dywizją¹¹.

Por. Andrzej Krawiec i uszczuplony 4 batalion forteczny poszli *zaraz* w ciągu wieczoru i nocy, na piechotę, przez Werynię i Raniżów, przeprowadzani przez miejscowych ludzi, przewodników, jak ich nazwał porucznik we wspomnieniu w kierunku Rudnika nad Sanem, poza którym leży Ulanów. W parku koło pałacu J. M. Tyszkiewicza w Weryni pozostał i zmarł jeden ranny żołnierz z tego batalionu, który doszedł jakoś do tego miejsca. Był to niejaki Józef Cebula od Krakowa. Został pochowany z zachodniej strony parkowej kaplicy. Ponieważ miał przy sobie dokumenty, później gdy sytuacja się unormowała i poczta zaczęła pracować, hr. Jerzy Maria Tyszkiewicz zawiadomił rodzinę poległego o jego zgonie i miejscu pochówku. Ktoś z rodziny poległego przyjechał, odwiedził grób i zabrał pozostałe dokumenty. Drugi ranny żołnierz z omawianego batalionu zmarł, po drodze w Raniżowie. Został pochowany przez ludzi na skraju tamtejszego cmentarza, ale nikt nie zapisał, jakoś na trwałe czy nie zapamiętał jego imienia oraz nazwiska i do dzisiaj grób ten, troskliwie utrzymywany przez mieszkańców miejscowości dawnego miasteczka, jest bezimienny. Natomiast jak

11 Biuletyn Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Kolbuszowej, nr 10, s. 5-20.

pisze por. A. Krawiec we wspomnieniu, on i jego towarzysze przeszli, może jakimiś bocznymi drogami, przez dużą wieś Kamień, leżącą na północ od ziemi sokołowskiej i około godz. 4⁰⁰ nad ranem przybyli do wsi Jeżowe pod Kamieniem, skąd wiedzie droga przez lasy do Rudnika i Ulanowa.

Do udziału w bitwie w Kolbuszowej w dniu 9 września 1939 roku, przyznali się jeszcze przed laty dwaj mężczyźni. Jednym był p. Jan Baranowicz z Katowic, który nadmienia o tym w swoich wspomnieniach pod tytułem "Lata we mgle". Książka do dzisiaj jest już prawie, że niedostępna. Drugim był p. Stanisław Fabiański z Pilicy w powiecie Olkusz, poznany przed laty, przez autorkę tych słów. Nie był on urzędowo zmobilizowany i wcielony do jednostki, lecz sam zgłosił się na ochotnika. Urodził się on w 1905 r. w Pilicy, mieście leżącym w zaborze rosyjskim. W odrodzonej Polsce skończył cztery klasy gimnazjum i odbył w latach 1927-1928 służbę wojskową. W wojsku, we Lwowie skończył Podoficerską Szkołę Sanitarną i dostał stopień podoficera. W cywilu uczył się na Kursach dla drogistów, pracowników drogerii, sklepów higieniczno-lekarskich, po czym najpierw pracował w aptekach, a potem założył w Pilicy własną drogerię. Ożenił się, miał syna, a gdy przyszedł 1 wrzesień 1939 roku, zapragnął wziąć udział w obronie Ojczyzny. Chciał zgłosić się w swojej jednostce wojskowej, ale już jej nie zastał. Udał się w pościg za nią i dotarł aż do Mielca, gdzie przyłączył się do spotkanego 4 Krakowskiego Batalionu Fortecznego. Przyszedł z nim do Kolbuszowej i przeżył w niej bitwę. Uważał ją później za wielki bój, lubił o nim opowiadać i zawsze dziękował Panu Bogu, że go przeżył. Zapamiętał dokładnie zarys kolbuszowskiego rynku i ulic, wiodących do Weryni, a wiele z tego co przeżył, opisał w roku 1989 następująco:

"Wspomnienie z walki Wojska Polskiego, toczony w Kolbuszowej".

Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna i władze polskie ogłosiły mobilizację, ja jako podoficer sanitarny, byłem zobowiązany stawić się w mojej jednostce wojskowej, w 2 pułku Piechoty Legionów w Pińczowie, albo w Rejonowej Komendzie Uzupelnień w Miechowie, żeby uzyskać przydział do obrony kraju. Pożegnałem więc żonę, rodziców, dwuletniego synka, opuściłem dom, drogerię, wytwórnię wód owocowo-gazowych i udałem się pieszo, wobec braku komunikacji do RKU w Miechowie. Komendy jednak tam już nie zastałem. Ewakuowała się bardziej na wschód, rzekomo do Działoszyc. W Działoszycach jej także nie zastałem, ale natknąłem się na dwóch moich młodych kuzynów, z którymi był kierownik mleczarni z Pilicy. Razem udaliśmy się do Nowego Korczyna, tuż przed nadciągającą masą polskiej kawalerii. Stąd już przy boku rozproszonych jednostek wojskowych, pomaszerowaliśmy do Starego Korczyna, Szczucina i do Mielca. W Mielcu spotkaliśmy dużo różnych jednostek wojskowych. Byli wśród nich trzej moi znajomi z Pilicy, a to plut. Tadeusz Niezręcki, kpr. Kazi-

mierz Kubiczak i kpr. Franciszek Sośnicki. Chociaż nie znalazłem mojej jednostki, zameldowałem się u dowódcy i zostałem przyjęty jako podoficer sanitarny. Dano mi jakąś drelichową bluzę i pomaszerowaliśmy do Kolbuszowej, z myślą o Rzeszowie, czy Sokołowie.

W dniu 9 września przed południem, przyszedliśmy do Kolbuszowej. Nastąpił postój dla spożycia obiadu. W międzyczasie dowiedziałem się, że nasz patrol miał przyłapać niemieckiego oficera, ubranego w polski mundur wojskowy, mającego radiostację nadawczo-odbiorczą. Byliśmy na rynku, gdzie znajdowali się i inni ludzie, zwłaszcza uciekinierzy. Nagle usłyszeliśmy strzały i wołanie, że od strony Tarnowa jadą do rynku niemieckie czołgi i samochody pancerne. Zaraz potem rozpoczęła się ciężka walka, huk, hałas, dym, istne piekło. Ja dzięki Bogu, znajdowałem się akuratnie w bocznej ulicy, prowadzącej do Sokołowa. Od tamtej ulicy szła pod górkę polna droga i ja z kuzynami, pobiegliśmy nią. W głębi, z boku drogi stał w polu osobny dom. Ja z kuzynami doczołgałem się do tego domu, a inny kolega ukrył się w stogu siana, stojącym koło domu. W pobliżu, w odległości około 300 m, widać było las. Do domu wnet przypęłzło także dziesięciu naszych żołnierzy. W domu było już dużo cywilów, kobiet, mężczyzn i dzieci. Żołnierze zaraz rozbroili się, nie widząc możliwości dalszej walki. Ja także zdjąłem drelichową bluzę. Dom stał w strasznym obstrzale niemieckim. Okna i drzwi były bardzo podziurawione, a my chroniliśmy się, jak mogliśmy, leżąc pod ścianami i po kątach. Byliśmy zupełnie bez wyjścia. Dzieci płakały, a kobiety i mężczyźni modlili się gorąco o ratunek. Niemcy jakby naumyślnie strzelali do tego domu. Zapalił się stóg siana, w którym siedział nasz kolega. On wyskoczył z niego i biegł na podwórze domu. Tymczasem do domu podchodzili Niemcy, strzelając po drodze z automatów. Widząc ich, nasz kolega, w białej koszuli i wojskowych spodniach, podniósł ręce do góry. Niemcy przestali strzelać. Gospodarz domu wysunął przez drzwi biały ręcznik na znak, że się poddajemy. Jeszcze baliśmy się, żeby Niemcy nie wrzucili nam granatów, bo wtedy moglibyśmy wszyscy zginąć.

Niemcy stojąc pod domem wołali, żebyśmy wychodzili z niego pojedynczo, z podniesionymi rękami. Wychodziliśmy. Na podwórzu oddzielili osobno kobiety i dzieci, osobno mężczyzn o wyglądzie cywilów i osobno o wyglądzie wojskowego. Ja znalazłem się wśród cywilów. Kazano nam położyć się na ziemi twarzą do niej. Żołnierzy ustawili w rzędzie i my baliśmy się, że ich rozstrzelają. Ale ich tylko zrewidowali. Potem kazali kobietom i dzieciom zostać na miejscu, a nas mężczyzn prowadzili pod eskortą z rękami do góry, do rynku.

Przyszedliśmy do rynku około godz. 10⁰⁰. Był on cały wypełniony ludźmi. Byli wśród nich i księża z plebani. Wnet nas, zebranych otoczyły niemieckie czołgi i samochody pancerne. Przed nimi stanął oficer i powiedział, że Polska przegrała wojnę, że ziemie polskie będą niemieckie po wieczne

czasy. Gdy słuchałem tych słów, myślałem sobie - ty zarozumiała Szwabie. Przecież tak nie pozostanie, to nie jest pierwsza wojna z wami. Inne wojny przegraliście, to i tę przegracie. A przemawiający Niemiec kazał nam podnieść rękę do góry na znak, że życzymy Niemcom dalszych zwycięstw.

Powiedział także, że nam z rynku nie wolno się rozchodzić, że wszyscy mieszkańcy domów także mają z nich wyjść, a jak kto nie wyjdzie, to będzie albo zastrzelony albo spalony. Wnet po tych słowach czołgi i samochody zaczęły odjeżdżać z rynku w ulicę, wiodącą do Sokołowa. Niektórzy z wojskowych strzelali do budynków ze wschodniej strony rynku, zapalając je. Domy zaczęły się palić także poza rynkiem.

W tłoku, pośród ludzi, leżeli dwaj ranni żołnierze polscy. Ja miałem apteczkę sanitarną i zacząłem ich opatrywać. Jeden ranny był w nogę, drugi w brzuch. Za chwilę przyszli, Niemiec z automatem na piersi i dwaj polscy żołnierze, teraz już jeńcy i zabrali obydwóch rannych, na noszach do jakiegoś punktu sanitarnego. Nie wiem, czy ten ranny w brzuch mógł przeżyć.

Był wieczór. Znalazłem się blisko studni, będącej na środku rynku, mającej poidło dla bydła. Rozmyślałem, jak by tu uciec? Najpierw postanowiłem zniszczyć dokumenty jakie posiadałem przy sobie, książeczkę wojskową, świadectwo ukończenia szkoły podoficerskiej i inne. Było mi ich żal, ale uważałem, że tak będzie lepiej. Pragnąłem powrócić do domu. Podarłem więc dokumenty na drobne skrawki i wyrzuciłem koło studni, gdzie chyba, rósł jakiś krzew.

Na razie, w czasie dalszego pobytu na rynku, przypatrywałem się w świetle pożaru, zebranych tam ludziom, Polakom i Żydom. Jedni stali, inni siedzieli, klęczeli czy leżeli. Księża i nie tylko oni, modlili się. Niektórzy ubolewali nad zniszczeniem ich dobytku. Chciałem uciekać, ale byłem zmęczony i zmorzył mnie sen. Ocknąłem się, gdy był już świt. Zauważyłem, że na rynku jest o wiele mniej ludzi, niż było poprzedniego dnia. Rynek obchodził niemiecki patrol. Podeszedłem do niego i zapytałem, znając trochę język niemiecki, kiedy zostaniemy zwolnieni? Usłyszałem odpowiedź, że na razie nie ma rozkazu. Gdy patrol odszedł, podeszedłem do małej uliczki, znajdującej się pomiędzy domami, a wiodącej w kierunku północno-zachodnim, w stronę Mielca. Ludzie byli na niej. Była niedziela, szli do kościoła. Wróciłem do moich kuzynów i powiedziałem im, żebyśmy starali się uciekać, że ja niespostrzeżenie dla patrolu pójdę pierwszy, a oni pojedynczo mają iść za mną. Udało się. Dostałem się do uliczki i moi kuzyni także. Poszliśmy za kościół. Na całej ulicy był straszliwy widok. Leżały na niej przewracane wozy wojskowe, rozbebeszone konie ze wzdętymi brzuchami, stały działa i leżały ciała zabitych żołnierzy. Niedaleko za cmentarzem było pole, błonie, a na nim znajdowała się duża gromada Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci. Dzieci płakały z powodu zimna i głodu. My szliśmy szybko dalej. Po jakimś czasie zobaczyliśmy polskie wojskowe wozy,

tabory, niezupełnie jeszcze rozbite z końmi. Nikt ich nie pilnował. Chłopi z sąsiednich domów zabierali je. My przyglądaliśmy się temu przez chwilę, potem powiedzieliśmy sobie, że trzeba nam zabrać jeden wóz i parę koni, że mamy tak daleką drogę do domów, więc szybciej ją przejeździemy niż przejdziemy, jeśli Niemcy nam nie przeszkodzą. Wzięliśmy jeden lekki wóz i konie i ruszyliśmy naprzód, modląc się w duchu, żeby nie spotkać Szwabów. Gdy było możliwe, zjeżdżaliśmy na polne drogi. Po drodze wzięliśmy na wóz wędrujących rozbitków. Jeden z nich bolał, że był na uciekinierce swoim wozem i końmi i Niemcy zabrali mu to wszystko. My pocieszaliśmy go, że dobrze że żyjemy, że jedziemy końmi, że one nam nie będą potrzebne i on je sobie weźmie, jak szczęśliwie zajedziemy do domów. I tak się stało. Zajechaliśmy do domów i dziękowaliśmy w nich Panu Bogu za szczęśliwy powrót do swoich. Ale bitwę w Kolbuszowej zapamiętałam do końca życia.

Chcę dodać, że trzech moi wojskowi, których spotkałem w Mielcu przed marszem do Kolbuszowej i dzięki nim znalazłem się w oddziale, który przyszedł do Kolbuszowej i walczył w niej, dostali się w Kolbuszowej do niewoli niemieckiej, ale przeżyli ją i powrócili po wojnie do domów. Ja po wojnie nie raz postanawiałem sobie pojechać do tego miasta, oglądnąć je, porównać z tym, co zapamiętałem. Ale rodzina moja po wojnie powiększyła się, rodzice nas opuścili na zawsze, trzeba było remontować dom, pracować już nie we własnej drogerii, bo w tym ustroju socjalistycznym mieć jej nie mogłem, dzieci chować, kształcić. Potem zaczęło się psuć zdrowie. I tak zeszło. Często jednak jestem w Kolbuszowej myślami, współczuję jej z powodu przejść wojennych i życzę rozwoju. Oby więcej nie zaznała wojen¹².

Pan Stanisław Fabiański widział wieczorem i w nocy z dnia 9 na 10 września 1939 roku palącą się Kolbuszowę. Widzieli ją również kolbuszowianie i uciekinierzy zgromadzeni przez Niemców na rynku, na polach należących do plebani, leżących na zachód od cmentarza i na łąkach, pomiędzy ulicami 3 Maja i Krakowską. Ze wszystkich tych miejsc co odważniejsze osoby wymykały się do domów. Mniej odważni spędzili w miejscu zgromadzenia całą noc. Ci co byli na łąkach, znajdowali się pod bokiem przejeżdżającej 2 dywizji pancerniej. Rano wszystkich puszczono do domów.

Nie jest prawdą, co po bitwie opowiadali jacyś przestraszeni kolbuszowianie, że Niemcy trzymali sporo ludzi w kościele, że potem ich rozstrzelali.

Ja przeżyłam dzień 9.09.1939 r., dzień bitwy tak, jak i inne, wcześniejsze i późniejsze dni, w Kolbuszowej, w domu rodzinnym, mając skończone, co dopiero dwanaście lat życia. Wszystko, co wtedy widziałam, mocno

12 Wspomnienie p. Stanisława Fabiańskiego, który mieszkał w Pilicy, znajduje się u autorki pracy.

utkwilo mi w pamieci, a dzisiaj, w sześćdziesiątą rocznicę, chcę to przedstawić na piśmie. Byłam wówczas drugim, po siostrze Annie, dzieckiem Feliksa Dudzińskiego i Wilhelminy Widuchowskiej. Miałam jeszcze dwójkę młodszego rodzeństwa: siostrę Janinę i brata Andrzeja. Ojciec mój był rzemieślnikiem, szewcem. Mieszkaliśmy we własnym murowanym domu, stojącym w rogu pomiędzy ulicami Józefa Piłsudskiego i Krakowską, obok kapliczki św. Jana. Ojciec miał warsztat i mały sklepik z obuwem w pobliżu rynku, tuż przy magistracie i moście na Nilu. Obecnie budynek magistratu zajmuje Powiatowa Komenda Policji. Mieliśmy też, jak wszyscy mieszczenie, małe gospodarstwo rolne. Chowaliśmy dwie krowy. Ojciec mój wychowany w duchu patriotycznym w okresie niewoli austriackiej, miał zamiłowanie do pracy społecznej. Od młodych lat należał do Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół", a w wieku dojrzałym był zawsze, z wyjątkiem lat wojennych, radnym miejskim. W II Rzeczypospolitej, w latach trzydziestych, wciągnął się do pracy w Towarzystwie Przyjaciół Związku Strzeleckiego. Przez jakiś czas pełnił funkcję prezesa. Na krótko przed wojną został za to odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Mama prowadziła gospodarstwo domowe. Z licznych krewnych, najbliższymi byli dla nas dziadkowie (rodzice Mamy) Jan i Maria Widuchowscy, którzy mieszkali ze swoimi młodszymi dziećmi w małym, drewnianym domku na Nowym mieście. Chodziliśmy do nich często przez rozległe pola, łąki, rozciągające się jeszcze do dzisiaj pomiędzy ulicą Krakowską a 3 Maja (teraz Obrońców Pokoju) i Nowym Miastem. Lato w 1939 r. było gorące i upalne. Ciepło było prawie do Bożego Narodzenia. Ja w maju skończyłam szóstą klasę szkoły powszechnej i złożyłam egzamin wstępny do miejscowego Prywatnego Gimnazjum. Miałam w sobie ciekawość świata i ludzi. Pamiętam chmurny i ponury sobotni dzień pierwszego września, gdy rano rozeszła się piorunująca wieść, że Niemcy napadli na granice Polski, że zaczęła się wojna, że nasi żołnierze walczą. Niektóre kobiety krzyczały i płakały. Inne, wśród nich moja Mama, biegły do sklepów z nadzieją, że może im się uda jeszcze kupić trochę soli, cukru i mąki, a także mydła i nafty do oświetlania mieszkań. Ojciec podszedł do aparatu radiowego na słuchawki, żeby dowiedzieć się czegoś o aktualnej sytuacji politycznej i militarnej. Na drugi dzień pojechał on, jak i paru innych mężczyzn do koszar wojskowych w Rzeszowie, prosząc o przyjęcie do wojska. Nikt nie został przyjęty. 17 pułk piechoty nie był przygotowany do zaciągania ochotników. Tymczasem gospodynie po domach, pakowały do skrzyń swoje cenniejsze przedmioty i ukrywały je, przeważnie w ziemi. Stary Szymon Mazur, woźny magistracki, ogłaszał zarządzenia władz powiatowych i miejskich, nakazujące zaciemnianie wieczorem okien. Szymon przywoływał do siebie ludzi, jak zawsze, stając na wolnym miejscu i uderzając pałeczkami w bębenek. Zaraz biegło się do sklepu papierniczego po czarny karton do zaciemniania. W tym czasie ludzie obawiali się, żeby Niemcy nie użyli gazów trujących,

gdyż z cywilów nikt nie miał masek przeciwgazowych. Zarząd Powiatowy Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża organizował krótkie szkolenia sanitarne. Nie zmobilizowani do wojska członkowie Związku Strzeleckiego byli organizowani w oddziały. Z obawy przed działalnością dywersyjną, trzymali warty przy budynkach użyteczności publicznej.

Od trzeciego września zaczęli przeciągać przez Kolbuszową cywile, uciekający przed Niemcami z zachodniej Polski, ze Śląska i z ziemi krakowskiej. W tamtym czasie samochody były rzeczą rzadko posiadaną. Uciekinierzy, ogarnięci bezrozumną paniką, jechali na furmankach, rowerach, albo szli na piechotę, nieraz z małymi dziećmi na rękach czy wioząc je w dziecinnych wózkach. Do Kolbuszowej docierali wszystkimi trzema drogami od zachodu, od Mielca, od Radomyśla i Rzemienia i od Sędziszowa. Jechali, szli Polacy i Żydzi. Wstępowali do domów. Katolicy do domów katolickich, Żydzi do żydowskich. Prosiли o pożywienie, czasem o nocleg. Tu, u nas, nie było niemieckich nalotów na drogi, bombardowań i sieczenia z karabinów maszynowych. Były one w strefach przyfrontowych. Po domach przyjmowano przybyszy, których częstowano i oferowano nocleg. Wojna wyzwalała ludzką solidarność, lecz strach rodził panikę, która powodowała wypadki. Pamiętam wypadek samochodowy z dnia 6 września na kolbuszowskiej ulicy. Doznając złamania podstawy czaszki zginął w nim niejaki pan Leonard Gutkowski. Zapis pogrzebu w parafialnej Księdze zmarłych głosi, że urodził się on w 1898 r. w Delatynie, jako syn Marcina i Emilii Stryjskiej, a był mężem Zbigniewy Barszczyńskiej.

Pan Franciszek Margański z Kolbuszowej Dolnej wspomina, że któregoś dnia przed 8 września, ktoś przywiózł do kolbuszowskiego Starostwa kilka dużych zaplombowanych skrzyń, z poczty w Krakowie. Skrzynie pilnowali jacyś ludzie, którzy zażądali środka lokomocji w celu transportu ładunku do Lwowa. Pan Margański pracował wtedy jako młody mechanik w warsztatach Spółki Komunikacji Autobusowej pp. Osiniaka i Zielińskiego. Pracownicy Starostwa zaraz zabrali spółce jeden duży autobus, zostawili parę siedzeń, resztę usunęli, załadowali skrzynie i autobus pojechał. Pan Marcin Osiniak wysłał z nim do pilnowania, p. Margańskiego. Autobus zajechał, bez przeszkód do Lwowa, po czym ruszył dalej na południe ku granicy z Rumunią. Opiekunowie pilnowali skrzyń, jak oka w głowie. Gdy dotarli autobusem do Zaleszczyk nad granicę, radio podało wiadomość, że armia sowiecka przekroczyła granice Polski. Był to więc 17 września. Wtedy opiekunowie skrzyń porozumieli się z władzami zaleszczyckimi i jakimiś innymi ludźmi - i otworzyli skrzynie. Były w nich - biżuteria i pieniądze, zebrane w Krakowie na Fundusz Obrony Narodowej, utworzony w chwili zagrożenia Polski wojną. Opiekunowie skrzyń dawali posiadane pieniądze Polakom udającym się do Rumuni. Biżuterię ktoś gdzieś zabrał. Pieniądze miały jeszcze wartość. Pan Margański także dostał ich trochę. Mógł udać się do Rumuni ale zauważył, że żołnierze rumuńscy nie

szanują przechodzących do nich Polaków, więc postanowił wrócić do domu. I powrócił spotykając przybyłych Sowieców i mając różne przygody.

W dniu 7 września zaczęło się przemieszczanie, przez Kolbuszowę, oddziałów wojskowych z Grupy Operacyjnej "Boruta". Przybywały one głównie od strony Mielca ulicą Narutowicza. Niektóre przychodziły też, czy przyjeżdżały z Sędziszowa ulicą J. Piłsudskiego. Musiały do nas przychodzić złe wiadomości znad Dunajca pod Tarnowem, gdyż wojenna panika ogarnęła i kolbuszowskich urzędników. Nie wiadomo kiedy, pojechał na "uciekinierkę" za San starosta mgr Jan Scherff z żoną i synem Jerzym, gimnazjalistą. Pozostał Michał Wiszniewski, wicestarosta, z rodziną. Jan Scherff nie wrócił już do Kolbuszowej. Dotarł na Kresy Wschodnie, dostał się pod władzę ZSRR i został wywieziony na rosyjski Daleki Wschód. Spotkało to, z kolbuszowian, nie tylko jego. Dotknęło również i kilkunastu młodych Żydów. Oni wiedząc, że są wyniszczani skwapliwie uciekali przed Niemcami. Po wojnie odwiedził Kolbuszowę Jerzy Scherff, który wrócił do odrodzonej Polski w szeregach Ludowego Wojska Polskiego. Opowiadał kolegom swoje przeżycia.

Dzień 8 września był dla kolbuszowian dniem frontowym. Od rana wojsko przesunęło się przez miasto w stronę Weryni. 10 BKZmot. przejechała w stronę Rzeszowa. Na "uciekinierkę" ruszyli kolbuszowscy urzędnicy i inni ludzie. Urzędnicy załadowali się do pięciu autobusów Wacława Osiniaka i Leona Zielińskiego. Był wśród nich i dr Kazimierz Skowroński. Dokumenty z Sądu ładowano na furmanki. Na nie wsiedli też, zabierając swoje ręczne karabinki strzelcy, członkowie Związku Strzeleckiego. Mój Ojciec pojechał z nimi. Nasza rozsądna Mama, pamiętająca pierwszą wojnę światową, absolutnie nie chciała ruszyć się z dziećmi z domu. Strzelcy dotarli do Lwowa, naszego miasta wojewódzkiego i brali udział w jego obronie, rozpoczętej *zaraz* po 10 wrześniu. Mój Ojciec po kilku dniach pobytu we Lwowie, powrócił sam do Kolbuszowej, do nas, do rodziny. Wsunął wtedy, pod jakąś przyzmę kamieni przy drodze, swój Brązowy Krzyż Zasługi. Wacław Osiniak pojechał poza Lwów. Był z nim i Wiktor Winiarski, ówczesny burmistrz Kolbuszowej. On to zostawił dokumenty, przechowywane w magistracie, tam, gdzie zawsze leżały, zamiast ukryć je w bezpiecznym miejscu. Były tam m.in. nieznane akta z przeszłości Kolbuszowej. Niemcy, opanowawszy miasto w dniu 9 września, wyrzucali na podwórza, z wszystkich urzędów zastane dokumenty i książki i palili je. Taki los spotkał też papiery, znajdujące się w magistracie. Z palącego się ogniska odskoczył wprost pod nogi Ferdynanda Jędrzejowskiego, pracownika magistrackiego, tylko jeden pergaminowy dokument, złożony w niewielką kostkę. Wymienionemu urzędnikowi, który pozostał na miejscu najprawdopodobniej do pilnowania Urzędu, przyszło na myśl, aby ukryć cenny dokument przed Niemcami. Gdy pergaminowy pakiecik odskoczył z ogniska, schylił się, podniósł go i schował do kieszeni. Był to dokument z

1700 roku, wystawiony przez Józefa Karola Lubomirskiego, założyciela miasta Kolbuszowa. Ferdynand Jędrzejowski po wojnie oddał dokument do organizowanego, kolbuszowskiego Muzeum, gdzie do dzisiaj on się znajduje, jako coś bezcennego.

Ja z dnia ósmego września 1939 r. pamiętam dobrze dwa oddziały kawalerii, które przejeżdżały przez Kolbuszowę, od strony Sędziszowa. Ułani prezentowali się pięknie. Konie były wysokie, o ciemnej sierści i rozpędzone, rwały szybko naprzód, rozgrzane pędem. Wojskowi mieli wspaniałe mundury, soczysto-zielonego koloru, suto ozdobione srebrnymi wężykami na kołnierzach i chyba na mankietach przy rękawach. Kołnierzyki mieli rozpięte pod szyją, z powodu gorąca, a czapki, rogatywki, mocno nasunięte na czoła. Z prawej strony, w przedzie siodła jeźdźców, widniały proporczyki, z lewej strony zwisała okrągła kula siana, porcja końskiego pożywienia. Rozpędzone konie z trudem zatrzymały się. Jadący, moją ulicą, zatrzymali je, gdyż przed domami stały kobiety, z naczyniami pełnymi napojów, kompotu czy wody z sokiem i częstowały kawalerzystów. Drugi oddział ułanów był mniej malowniczy. Mundury miały jakby kolor beżowy, a proporczyki kolor żółty. Jeźdźcy nosili na głowach hełmy.

Pamiętamy z opisu Jana Józefa Szczepańskiego w "Polskiej jesieni", że w dniu 8 września przechodziło przez Kolbuszowę mnóstwo wojska. Zappełniało ono cały rynek i szło głównie w stronę Weryni i Raniżowa, ale też w stronę Cmolasa i Tarnobrzega. Wieczorem, tego dnia, paru maruderów z końmi znajdowało się jeszcze koło stadionu, gdy na motocyklach podjechał tam, od Sędziszowa, podjazd niemiecki. Wtedy, jak opowiadali niektórzy kolbuszowianie padły tam strzały karabinowe. Ja mieszkałam niedaleko stadionu, ale żadnych strzałów nie słyszałam. Spokojnie oczekiwałam nocy - pierwszej bez Ojca. I dobrze ją pamiętam. Wieczorem zasnęłam, a nad ranem zbudziłam się, bo moja Mama nie spała, tylko chodziła po mieszkaniu i bojaźliwie zaglądała za okna. Zapytałam się: Mamo, dlaczego nie śpisz? Odpowiedziała: Boję się inwazji. Nie znałam tego słowa. Pierwszy raz je słyszałam. Mama powiedziała mi, że jest to przyjscie nieprzyjaciela, wroga. Ja, w tamtej chwili nie miałam pojęcia, że jakiś wróg może przyjść. A on był już tak blisko.

Na kolbuszowskiej ulicy Józefa Piłsudskiego dopołudnie 9 września minęło spokojnie. Była to sobota, według tradycji, dzień chodzenia po domach "po prośbie" biedaków spod Kolbuszowej. Kpt. Piotr Tymkiewicz napisał w swoich wspomnieniach o bitwie pod Kolbuszową, że zaczęła się ona około godziny dziesiątej. Na ulicy Piłsudskiego nie było słycać strzałów. Ja i moje rodzeństwo byliśmy na podwórzu lub w ogrodzie, bo Mama nie pozwalała nam oddalać się od domu. Ona też, jakoś nie spieszyła się z przygotowywaniem obiadu. Uciekinierzy byli jeszcze w rynku, czasem gdzieś po domach, ale ulicami już nie przechodzili. W pewnej chwili, z pewnością już po godzinie trzynastej, przyszyła do nas babcia, Maria Widu-

chowska i powiedziała, że zrobiła, u siebie, obfity obiad, na który nas zaprosiła. Babcia odeszła, a Mama kończyła rozpoczęte prace domowe, to jest drobne pranie, które zwykle urządzało się w sobotę, czekała też, aż pomoc domowa pogoni na pastwisko krowy, później zamknęła dom, zabrała nas i poszliśmy łąkami, rozciągającymi się naprzeciw naszego domu, do dziadków na Nowe Miasto. Gdy przyszlismy pod drewniany domek dziadków, zauważyłam, że naprzeciw, w ogrodzie domu rodziny Saramów, biwakują polscy żołnierze. Było ich około dwunastu. Karabiny ich ułożone w kozły stały z boku, niedaleko położone były plecaki, a oni sami, rozebrani z bluz mundurów i koszul, siedzieli leniwie na ziemi, opalając się w silnie grzejącym słońcu. Było już pewnie po godzinie piętnastej. Dookoła żołnierzy kręciły się dzieci z Nowego Miasta, bacznie wszystkiemu się przyglądając. Ja zaraz przyłączyłam się do nich. Nagle, w pewnej odległości, gdzieś z ulicy 3 Maja, padł strzał z pistoletu. Usłyszawszy go, żołnierze szybko poderwali się z ziemi, uzupełnili ubiór, chwycili plecaki, karabiny i pobiegli w stronę, skąd doszedł huk strzału. My, dzieci, chwileczkę oglądaliśmy opuszczone miejsce, ale *zaraz* posypały się kolejne strzały, więc ruszyliśmy do mieszkań, wołani już zresztą przez dorosłych. Zaczęła się bitwa. Wpadłam do domku babci, gdzie była już cała rodzina, oraz sąsiadka Julia Czyżewska. Poukładaliśmy się na podłodze w babcinym pokoju, przy piecu, od strony południowej, bardziej wystawionej na strzały, niż strona przeciwna, nie myśląc nawet o nie zjedzonym obiedzie. Julia Czyżewska zaraz zaczęła się głośno modlić i czyniła to przez całą bitwę. Tak przeżywałam wrześniową, kolbuszowską bitwę, leżąc na podłodze i nasłuchując huku strzałów, raz głośniejszych, raz cichszych. Podkreślam, bitwę wrześniową, bo później, po prawie pięciu wojennych latach, na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., armia ZSRR wypierała Niemców z naszych ziem, hitlerowcy znowu urządzili bitwę w mieście Kolbuszowa, ze wzgórza od Nowej Wsi. Tym razem walczyli z Rosjanami, a ja przeżywałam walkę poza domem, na polu głównego ostrzału, zostając ranna. Podczas pierwszego starcia w 1939 r. unosiłam się z podłogi i zaglądałam za okno. Ale tylko raz zobaczyłam polskiego żołnierza, z ręcznym karabinem maszynowym w ręce, uwijającego się w babcinym ogródku.

Bitwa trwała ze dwie godziny, a może dłużej. Nie patrzyliśmy-podczas niej na zegarek. Nikt z nas nie miał go na ręku. Nagle zrobiła się cisza. Podnieśliśmy się z podłogi. Julia krzyknęła: Niemcy! - i w drzwiach wejściowych, wiodących z ganka do kuchni stanął niemiecki żołnierz. Był młody, wysoki, w zielonkawym hełmie na głowie, a na mundur nałożony miał płaszcz ze sztucznego tworzywa. W rękach trzymał automatyczny karabin, a piersi opasane miał żółtymi taśmami naboju. Nas było w izbie dużo: pięć dorosłych osób i kilkoro dzieci. On, chyba poczuł się nieswojo w mrocznym pomieszczeniu. Z obojętną miną powiedział "raus" i zrobił ruch, nakazujący wyjście z domu. Nie czekał, aż wyjdziemy i - odszedł. Gdy

wyglądnełam za nim, zobaczyłam, że piaszczystą drogą, wiodącą koło babcinego ogródka, od ulic - 3 Maja i Nowe Miasto, na wspomniane przeze mnie łąki, ciągnące się ku ulicy Krakowskiej, przesuwa się tłum ludzi, mieszkańców z ulic 3 Maja i Nowego Miasta, eskortowany przez kilku uzbrojonych Niemców. Tłum był prowadzony na łąki. Wyszliśmy z mieszkania. Na polu była już szarówka. Na niebie, niewysoko nad ziemią, kłębiły się olbrzymie chmury buro-czarnego dymu. Zauważyłam, nisko nad ulicą 3 Maja lecący samolot, zrzucający palące się, długie jak świeca, pociski zapalające. Zapatrzyłam się, gdy od idącego tłumu odbiegł skurczony, młody mężczyzna w białej koszuli, zasłaniający piersi złożonymi rękoma. Wszedł do babcinego ogródka i podszedł do nas. Powiedział po cichu: "Jestem polskim żołnierzem. Bitwa skończona. Dajcie mi jakieś cywilne ubranie". Babcia szybko skierowała go do drewnutni, za domem, gdzie dziadek i jego synowie trzymali starą odzież. Babcia powiedziała: "Bierz pan, przeskocz przez płot i wmieszaj się w tłum". Był to przykry obrazek. Zaraz po tym Mama pociągnęła nas, swoje dzieci do idących ludzi. Poszliśmy na łąki. Dziadkowie i rodzeństwo naszej Mamy pozostali, żeby ratować swój dom przed spalaniem. Na łąkach Niemcy ludzi nie pilnowali. Odeszli. My byliśmy naprzeciw naszego domu, stojącego zachodnią stroną do ulicy Krakowskiej. Mama rozejrzała się, poczekała chwilę, a potem pociągnęła nas w kierunku mieszkania. Szliśmy tą samą drogą, którą zawsze chodziliśmy do dziadków. Udało się nam przejść. Przyszła razem z nami przyjaciółka Mamy z Nowego Miasta, pani Aleksandra Chodorowska z trójką swoich dzieci, będących w naszym wieku. Pan Marian Chodorowski, podobnie jak nasz Ojciec był na "uciekinierce". Joanna Aleksandra była w ostatnich dniach ciąży. Po bitwie, zdążyła tylko w oborze spuścić krowy z łańcuchów. Widziała, jak Niemiec, który wszedł do jej domu i kazał jej wychodzić, rzucił na dach tego nowego i porządnego domu, wyjęty z kieszeni ładunek zapalający. Ona musiała się odwrócić i pójść na łąki.

Gdy przyszliśmy do mojego rodzinnego domu, ciągle przestraszeni, usiedliśmy w kącie, zasłoniliśmy okno i zapaliliśmy małą lampę. Byliśmy jeszcze pod wrażeniem strzałów, czyli, jak to się dzisiaj mówi, w szoku. Nie myśleliśmy o tym co dzieje się na ulicach, o leżących tam zabitych i rannych ludziach, Polakach, o rozpalających się domach. Wtem znowu otworzyły się drzwi i stanął w nich Niemiec. Zapytał się coś w swoim języku. Nasza Mama, urodzona w czasie niewoli austriackiej, na parę lat przed pierwszą wojną światową, pamiętała trochę ten język. My znowu przestraszyliśmy się, że może przyszedł z nami dlatego, że odeszliśmy z łąki. Ale on zapytał się krótko: "Czy jest tutaj ogień"? Mama odpowiedziała, że nie. Wtedy on wziął z kuchni taboret i wyszedł z nim. Ja, zaciekawiona, podążyłam za nim, przed dom. Zobaczyłam, że Niemcy rozbierają płot naszych krewnych, Gumińskich, znajdujący się naprzeciw naszego domu, oddzielający łąkę Gumińskich i inne łąki od ulicy Krakowskiej. W głębi na łąkach

stały samochody i czołgi. Silne snopy światła z samochodów skierowane były w dół. Podeszłam jeszcze parę kroków w kierunku ulicy Piłsudskiego, zobaczyć, co robi Niemiec z zabranym taboret. A tu auta z łąki zaczęły jechać. Zauważyłam, że Niemiec, który wziął taboret, postawił go na środku ulicy J. Piłsudskiego, za kapliczką św. Jana, niedaleko miejsca skąd oddziela się droga do dawnych, austriackich kasarni, dzisiaj nazywanych Kłodniczówką, stanął na nim i zaczął regulować ruchem pojazdów. Jedne z nich kierował do rynku, inne w przeciwną stronę, w stronę stadionu. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Niestety, nie popatrzyłam w stronę miasta. Ale tam, wtedy, nie widać było jeszcze ognia. Podpalone domy dopiero się rozpałały. Ja natomiast oddzielona płotem znalazłam się bardzo blisko, w odległości chyba niespełna jednego metra od kół ciężarówki pełnej żołnierzy, która wyjechała z łąki, na ulicę Krakowską, na wprost mnie. Szybko wpadłam do mieszkania.

Nie wiedziałam wówczas, że jesteśmy świadkami wjeżdżania do Kolbuszowej niemieckiej 2 dywizji pancerniej, podążającej w ślad za polską 10 Brygadą Kawalerii zmotoryzowanej, z którą zmagala się prawie od Zakopanego. Przyjechawszy z Radomyśla pod Rzemień, nie pojechała, jak 10 BKZmot. przez Mielec, ale skręciła na prawo, na wschód, w leśną, piaszczystą drogę, wiodącą do Kolbuszowej przez Dobrynin, Niwiska, Trześń i Nową Wieś. Że też mogła ona przebrnąć przez tamtejsze piaski? Na przedzie jej, jechał pierwszy batalion. To on, stanąwszy do południa na Krokwi najpierw rozbił batalion "Wołożyn" pod Swierczowem i Kolbuszową Dolną, potem bił się, w Kolbuszowej, z 4 krakowskim batalionem fortecznym. Walka w Kolbuszowej trwała cały dzień, podczas którego 2 dywizja pancerna była tutaj zatrzymana. Już wieczorem wjeżdżała do miasta. Może, w tym czasie Kolbuszowa Dolna się paliła, a może Niemcy wiedzieli, że i centrum Kolbuszowej będzie się palić i nie pojechali ulicą 3 Maja do rynku. Znowu skręcili, prawie przy początku tej ulicy, od strony Krokwi, na prawo, w wąską drogę, wiodącą do gospodarstwa rodziny Stępników (dzisiaj Opalińskich), po czym, po kilku krokach, ruszyli na łąki, rozciągające się pomiędzy ulicami 3 Maja i Krakowską, a nimi, na przełaj, ku ulicy Józefa Piłsudskiego. Ominęli, w ten sposób palącą się przyrynkową część ulicy 3 Maja. Z pewnością, żeby oświetlić sobie drogę na łąki, podpalili drewniane, duże zabudowania gospodarskie Stępników.

2 dywizja pancerna jechała poprzez łąki, koło mojego domu do północy albo nawet dłużej z 9 na 10 września. Nie wiem, którądy przejeżdżała, minawszy ulicę J. Piłsudskiego, do dużego mostu na Nilu. Chyba przez ulicę Piekarską. Tutaj, przed wjazdem na most, niemieccy brutalnie podpalili, znowu dla oświetlenia sobie drogi, budynek mojego Ojca, w którym był jego warsztat i sklep. Spaliła się też wtedy, sąsiednia cukierenka Mariana Leśniowskiego. 2 dywizja pancerna pojechała dalej za 10 BKZmot., to jest do Głogowa Młp. Stamtąd udała się pod Łańcut i Jarosław, a potem na Lubelszczyznę.

Po wejściu do mieszkania, patrzyłam przez okno na jej pojazdy. Były to: najwięcej samochodów- ciężarowych, czołgi, poza tym samochody osobowe - piętrowe, wiozące żołnierzy na dwóch poziomach. Widać ich było przez dosyć duże okna. Siedzieli na ławkach, w bezruchu, w zielonych płaszczach i hełmach, trzymając karabiny w prawych dłoniach, przy kolanach. Patrzyłam na najeźdźców, niestety, nie myśląc, że niedaleko, na ulicach, leżą zabici i ranni, że palą się domy. Po pewnym czasie zmorzył mię sen. Położyłam się na łóżku i - zasnęłam.

Gdy na drugi dzień zbudziłam się, uderzyła mnie głucha cisza. Wybiegłam przed dom i zobaczyłam przeciwległe łąki poryte dwoma wygniecionymi prawie na pół metra pasami kolein po kołach pojazdów. Płot, który otaczał najbliższą nam łąkę, łąkę rodziny Gumińskich (dzisiaj Koczarów), stał oparty z boku, podzielony na kawałki. Niemców nie było. Natomiast to tu, to tam szedł od miasta jakiś człowiek wiejski, niosąc coś pod pachą. Później dowiedzieliśmy się, że na rynku i ulicach go otaczających, zwłaszcza na ulicy A. Mickiewicza, było pobojuwisko, leżeli zabici ludzie, walał się sprzęt wojskowy, czasem był martwy koń z rozdętym brzuchem. Podobno Niemcy pootwierali niektóre żydowskie sklepy w rynku, a biedni mieszkańcy, może i z Kolbuszowej, ale głównie z okolicznych wsi, przyszedłszy do miasta, do kościoła, bo to była niedziela, zabierali ze sklepów, co się dało. I nie tylko ze sklepów. Obdzierali leżących zabitych polskich żołnierzy z mundurów, butów, plecaków i nieśli wszystką zdobycz do domów. W zabranych mundurach zapewne znajdowały się dokumenty poległych i wskutek tego później, gdy poległych zniesiono lub zwieziono na miejscowy cmentarz w Kolbuszowej, gdy grabarze Polek i Gola szukali dokumentów przy ciałach, a ksiądz Józef Stal chciał zapisać dane personalne chowanego w parafialnej Księdze Zmarłych, nie było przy większości ciał żadnych papierów. Potem zaś, w czasie wojny, różni ludzie, przeważnie spoza miasta, chodzili ubrani to w bluzę, to w spodnie, to w płaszcz czy czapkę polskiego wojskowego. We wrześniu 1939 r. także wiejscy mężczyźni chętnie zabierali polską, porzuconą broń. Służyła im ona do kłusownictwa. Z czasem przydała się i w działalności konspiracyjnej.

Gdy Mama pozwoliła mi wyjść z domu, nie było już na ulicach poległych i porzuconego sprzętu wojskowego. Sterczały tylko ze osmolone kominy ze spalonych domów, a na grzędach popiołów leżała blacha z dachów. W Kolbuszowej spaliły się domy na wschodniej stronie rynku, na większej części ulicy 3 Maja i na przyrynkowej połowie ulicy J. Piłsudskiego. Spaliła się też prawie połowa wsi Kolbuszowa dolna, leżąca przy szosie do Mielca. Dopiero po kilku latach, dowiedziałam się, że zaraz po bitwie, w niedzielę lub w poniedziałek, zmówili się starzy, aktywni kolbuszowianie, którzy nie udali się na "uciekinierkę" i wystąpili przed ustanowionym niemieckim komendantem miasta jako przedstawiciele polskiego społeczeństwa z prośbą o pozwolenie na pochowanie poległych, uprzątnięcie ulic i zorganizowanie pomocy dla pogorzelców. Byli to: ksiądz dziekan i

proboszcz Antoni Dunajecki, Marian Januszewski, dawni burmistrzowie Marcin Osiniak i Władysław Zach oraz kowal Józef Skowroński. Dostali pozwolenie, o jakie prosili. Pewno oni zajęli się znośzeniem i zwożeniem poległych na cmentarz, gdzie ks. J. Stal i grabarze chowali ich w jednej wspólnej, olbrzymiej mogile. Zebrany sprzęt wojskowy musiano oddać Niemcom. Patrole ich piechoty, uzbrojone w ręczne karabiny, krążyły po ulicach.

Kolbuszowianie przekazywali sobie, z ust do ust, ciekawostki. Starsi mężczyźni, jak Michał Dudziński, mający przydomek "Szkiergiet, któremu spalił się dom przy ulicy 3 Maja (przyszedł on do domu synów w sąsiedztwie mojego mieszkania), mówili, że w mieście nie powinno być bitwy, że tak dużo ludzi poległo, wojskowych i uciekinierów, że straty są tak wielkie. Wśród uciekinierów w rynku były dwie martwe matki z żywymi niemowlętami przy piersi. Przy jednej matce była dziewczynka, przy drugiej bliźniaki - dwóch chłopców. Poległe nie miały przy sobie żadnych dokumentów i pochowano je, jak wielu innych, bezimiennie. Dziewczynkę wziął na wychowanie wikariusz z Niwisk ksiądz Skóra, bywający wtedy często w Kolbuszowej. Chłopców natomiast, za pośrednictwem księdza proboszcza, przygarnęły osoby bezdzietne - krewni Winiarscy. Jednego wziął szewc Ludwik Winiarski z żoną Marią z Mazurów, drugiego Władysława z Saramów Winiarska, której mąż poszedł na "uciekinię" i nie powrócił. Chłopcy dostali imiona Jan i Marian a nazwisko opiekunów. Dzisiaj mają już oni własne wnuki. W Kolbuszowej Dolnej zginęła też matka o nazwisku Wrona, mająca przy sobie półtoraroczną córeczkę. Zatrzymała się, w tej miejscowości, u ludzi o takim samym nazwisku, jakie nosiła ona, ale nie byli jej krewnymi. Prawdziwą matką dziewczynki była Zofia z Wronów - Ada-mus. Urodziła się w 1913 r. w Czernichowie w województwie krakowskim. Był z nią jej ojciec, Stanisław, urodzony w 1886 r. we wsi Bulowice w powiecie Bielsko-Biała. On też zginął. Osieroconą dziewczynkę wychowała Honorata Wronowa z Kolbuszowej Dolnej.

Ks. Józef Stal, który chował poległych po bitwie, twierdził, że było ich do stu dwudziestu osób. Bardzo dużo. Większość zabitych w chwili grzebania nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Miała je Helena Krzywdziak, nauczycielka z Krakowa, urodzona w 1917 r. zginęła w wieku dwudziestu dwóch lat. Ks. J. Stal zapisał ją jako pierwszą w Księdze Zgonów. Nie został zapisany w tej Księdze poległy wtedy kolbuszowianin, starszy już człowiek, z zawodu nauczyciel. Był to - Władysław Winiarski, syn Antoniego, stolarza, który w II Rzeczypospolitej pracował gdzieś na Kresach Wschodnich. Spędzał w Kolbuszowej wakacje u rodziny. Bitwa zastała go w domu przyjaciela, Stanisława Przybyły, byłego kierownika kolbuszowskiej Szkoły Męskiej. Dom ten stoi naprzeciw kościoła. Władysław Winiarski zamiast przeczekać w nim bitwę, wyszedł z niego, gnany jakimś niepokojem, i zginął zaraz pod murem kościelnym. Został pochowany, jak wielu innych, w zbiorowej mogile, bez zapisania do Księgi Zmarłych.

W czasie bitwy był w Kolbuszowej Cyrk "Korona" z Bielska-Białej, który ze swoją ekipą pracowniczą i menażerią uciekał przed Niemcami. Zatrzymał się on na piaszczystym polu za cmentarzem. W czasie bitwy wozy cyrkowe zostały rozbite, a zwierzęta zginęły. Ocalały małpki, które rozeszły się po mieście. Podobno Niemcy z 2 dywizji pancernej opowiadali potem, że w Kolbuszowej Polacy skierowali przeciwko nim dzikie zwierzęta.

Kolbuszowska bitwa przeszła do historii regionalnej. Niektórzy historycy mówią, że dzięki wymienionej bitwie, Niemcy uważali Kolbuszowę za — karne miasto. Ale w dwa lub trzy dni po bitwie, Niemcy otworzyli młyn Zaleła Orgia, Żyda i rozdawali każdemu, kto przyszedł z woreczkami, po trzy - cztery kilogramy mąki pszennej i kaszy - manny, nazywanej u nas grysikiem. Ksiądz proboszcz Dunajecki, władze miejskie, Oddział Polskiego Czerwonego Krzyża i miejscowe siostry zakonne, Służebniczki Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, otworzyli, w przykościelnej sali parafialnej kuchnię, wydającą obiady dla pogorzalców i innych biednych osób.

Dnie mijały. Jednego z nich, w końcu września, czy na początku października, przyprowadzili Niemcy do Kolbuszowej dużą ilość jeńców - polskich wojskowych, wziętych do niewoli po walkach na Lubelszczyźnie. Jeńcami byli żołnierze Armii "Kraków". Na Kłodniczówce, dawnym folwarku Jerzego Marii Tyszkiewicza zostali umieszczeni na noc, pod gołym niebem, na kawałku ziemi, ogrodzonym żerdziami. Kolbuszowianki zaraz zeszły się, pod ten tymczasowy obóz, z jedzeniem i piciem. Otoczyły go, a Niemcy - konwojenci nie przeszkadzali w przekazywaniu żywności. Wojskowi byli zmęczeni i bardzo smutni. Przykry był widok ich porozpinanych płaszczy i mundurów bez pasów i dystynkcji. Nic nie mówili. Ale, w pewnej chwili, któryś z jeńców powiedział głośno, że w bitwie na ziemi zamojskiej, pod Zwierzyńcem, zginął kolbuszowianin major Tadeusz Jan Chodorowski. Był to szwagier wspomnianej powyżej Joanny Aleksandry Chodorowskiej, brat jej męża, Mariana. Żałowaliśmy poległego. Jeżeli zaś chodzi o jeńców, obecnie uważam, iż powinni oni byli uciekać z niewoli - pewnie z Lubelszczyzny. W Kolbuszowej, otoczeni kobietami, też mieli dobrą okazję do tego, nie wykorzystali jej jednak. Gdy przyszliśmy następnego dnia na Kłodniczówkę, już ich nie było. Wczesnym rankiem wyprowadzono ich w stronę Sędziszowa.

W następnych dniach powracali do domów uczestnicy "uciekiniarki", zwłaszcza katolicy. Uciekiniarzy - Żydzi, szczególnie młodzi, pozostali za Sanem, pod okupacją radziecką, bojąc się, że Niemcy ich zamordują. W 1940 r. Sowieci powywozili ich, podobnie jak i tysiące, jeżeli nie miliony Polaków, daleko w głąb Rosji. Skazali ich tym samym na głód i poniewierkę. Większość wywiezionych przeżyła wojnę. Żydzi, którzy dostali się pod władzę Niemców, na ogół jej nie przeżyli. Nie wróciło też do domów wielu katolickich mężczyzn z całego powiatu kolbuszowskiego. Jedni z nich dostali się do niewoli niemieckiej, inni zaś do niewoli radzieckiej (sowieckiej). Byli też i tacy, którzy przedostali się, tak jak i władze polskie, do

Rumuni czy na Węgry, w myśl rozkazu tych władz, skąd potem przekradali się do Francji, chcąc dalej walczyć o wolność Polski. Ci, co wrócili, przynieśli wiadomość, że w wrześniowych walkach z Niemcami zginęli jeszcze, w szeregach wojska, podoficerowie - Jan Gumiński i Wojciech Winiarski z Kolbuszowej oraz Tadeusz Jadach z Weryni.

O bitwach, stoczonych w dniu 9 września 1939 r. na ziemi kolbuszowskiej, po wojnie pisał jako pierwszy wspomniany już wcześniej dr Kazimierz Aleksander Skowroński. Pierwszy artykuł o tej tematyce, ogłoszony został już we wrześniu 1945 r. w "Dzienniku Rzeszowskim". Potem były teksty poszerzone - w latach pięćdziesiątych, w gazetach "Piaś" i "Kierunki". Dziesięć lat później, napisał o tych bitwach pan Władysław Steblik w Wojskowym Przeglądzie Historycznym. Z kolei panowie - Piotr Tymkiewicz i Andrzej Krawiec napisali Władysławowi Steblikowi swoje wspomnienia, związane z Kolbuszową. Dr Skowroński zapoznał się z nimi, lecz wydawały mu się one zbyt skąpe. Odpowiadało mu tylko jego własne opracowanie "Boju pod Kolbuszową". Historyk ten w żadnym ze swoich artykułów nie opublikował imion i nazwisk osób, poległych w omawianych bitwach. Ja już wiele lat temu odpisałam imiona i nazwiska poległych z parafialnej Księdze Zmarłych. Ułożyłam je alfabetycznie i upowszechniłam, podając byłemu Zarządowi miejscowego Związku bojowników o Wolność i Demokrację, oraz publikując w "Nowinach Rzeszowskich" i w "Przeglądzie Kolbuszowskim", wydawanym od roku 1990.

Zapis osób poległych w bitwach wrześniowych, dokonany w parafialnej Księdze Zmarłych z lat 1911-1964, przedstawia się następująco: najpierw na stronach 75, 76 i 77 księgi jest wpisane dwadzieścia sześć nazwisk, z tym że pierwsza jest wspomniana Helena Krzywdziak. Potem ks. Józef Stal (który dokonał zapisu) napisał małymi literkami na dole stron 76 i 77, że zabitych i zapisanych od numeru 12 do 37, pochowali grabarze parafialni - Michał Polek i Jan Gola. W dalszej części zapisu czytamy: "Ci sami' pochowali 61 żołnierzy i pięć osób spośród ludności cywilnej. Jeżeli nie zanotowano reszty nazwisk zabitych, to stało się to z powodu braku jakichkolwiek dokumentów". Powyższy zapis nie jest dobrze sformułowany. Nie wskazuje wyraźnie, czy wymienieni grabarze pochowali trzydzieści sześć osób, zapisanych na stronach 75-76 i dodatkowo sześćdziesiąt sześć osób, czy pochowali oni wszystkich sześćdziesiąt sześć osób? Na dalszych stronach Księgi jest jeszcze kilka nazwisk zabitych, których zwłoki odnaleziono później i pogrzebano. Łącznie, zapisy nie dają liczby stu dwudziestu poległych. Jednak ksiądz Józef Stal po wojnie stwierdził, że we wrześniu 1939 r. zginęło, w bitwach na kolbuszowskim terenie stu dwudziestu Polaków i podobno kilkoro ludzi pochodzenia żydowskiego.

Oto nazwiska poległych zapisane w 1939 roku w parafialnej Księdze Zgonów z lat 1911-1964, ułożone alfabetycznie:

- Cacak Stanisław - strzelec, urodzony w 1910 r.,
- Cyboran Tadeusz - strzelec z Trzebionki, ur. w 1916 r.,

- Czyżewski Józef - nauczyciel ze Lwowa, ur. w 1875 r.,
- Dolecki Włodzimierz - porucznik, Chełmno, ur. w 1914 r.,
- Dukaczewski Stanisław - strzelec z Woli Miedniewskiej, pow. Błonie, woj. warszawskie, ur. w 1912 r.,
- Dylał Mieczysław - Wiśnicz Nowy, pow. Bochnia, ur. w 1900 r.,
- Gorzkowski Kazimierz - Kraków, ur. w 1904 r.,
- Hajkowski Edward - strzelec z Plebanowic, pow. Sokółka, ur. w 1917r.,
- Hodur Józef - z Broszkowic, gm. Oświęcim, ur. w 1902 r.,
- Hort Władysław - Drohobycz, ur. w 1912 r.,
- Ignaszek Józef - kolejarz z Zielińca Dworu k. Wrześni, ur. w 1901 r.,
- Jakubowski Ludwik - strzelec, Łubno Szlacheckie, pow. Jasło, ur. w 1914r.,
- Klich Józef - strzelec z Krakowa, ur. w 1912 r.,
- Kłapyta Józef - robotnik ze Stryszowa, pow. Maków, ur. w 1899 r.,
- Kotarski Henryk - strzelec, cukiernik z Przystani k. Częstochowy, ur. w 1917 r.,
- Krętek Henryk - strzelec, ur. w 1914 r.,
- Kulig Kazimierz - kapral z Bielska, ur. w 1900 r.,
- Kwaśniewski Tadeusz - poborca skarbowy z Brzeska, ur. w 1912 r.,
- Leszczyński Włodzimierz - ur. w 1909 r. we Lwowie, syn Jerzego i Walerii,
- Lubowiecki Dominik - Ciechanów, ur. w 1920 r.,
- Madej Józef - z Ciężkowic, pow. Chrzanów, ur. w 1893 r.,
- Marchewka Julian - strzelec z Przegini Duchownej, pow. Kraków, ur. w 1916 r., przynależność macierzysta 49 Huculski Pułk Piechoty,
- Niedzielski Józef Mieczysław - ppor. rez., ur. w 1909 r. w Stanisławowie, oficer p.a.l., d-ca plutonu Straży Granicznej "Rajcza",
- Pałasz Franciszek - szeregowy, ur. w Zawierciu,
- Pilocik Wilhelm - ur. w 1898 r. w Nowym Bytomiu,
- Ryniec Stanisław - strzelec 8 komp. Batalionu KOP "Wołożyn", ur. w 1915r. w Choceniu koło Włocławka,
- Rządkowski Jan - ur. w 1921 roku w Zabłędziu k. Tarnowa,
- Skalski Stefan - starszy strzelec, ur. w 1914 r. we Lwowie,
- Szebła Henryk - ur. w 1875 r. w Sędziszowie Małopolskim,
- Szypiński Stanisław Karol - kpr. rez. z 23 DP, ur. w 1904 r. w Katowicach,
- Smigielski Antoni - szeregowiec ze Straszkowa, pow. Koło,
- Waszut Michał - strzelec z Pułku Strzelców Podhal., ur. w 1914 r.,
- Wójciak Jan - strzelec, ur. w 1911 r. w Strzemieszycach Wielkich, pow. Będzin,
- Wróbel Edward - starszy strzelec, ur. w 1913 r. w Bielsku.

Wymienione powyżej trzydzieści cztery nazwiska i imiona mężczyzn to dane poległych w czasie wrześniowych, kolbuszowskich bitew. Z nich: Czyżewski Józef, Rządkowski Jan, Szebła Henryk, a może i inni, nie byli

osobami wojskowymi. Trzeba podkreślić, że zginęło w bitwach w Kolbuszowej czterech oficerów i czterech podoficerów. Z oficerów, w Księżce Zmarłych, zapisani są tylko dwaj, porucznik Włodzimierz Dolecki z batalionu "Wołożyn" i podporucznik Józef Mieczysław Niedzielski. Nie zostały zapisane nazwiska dwóch pozostałych oficerów: nazwisko porucznika Balcera, nieznanego z imienia, z 20 krakowskiego pułku piechoty i Józefa lub Jerzego Warchałowskiego, podporucznika rezerwy, przedwojennego redaktora krakowskiego pisma "Głos Narodu". O tym, że tutaj zginęli, mówił por. Andrzej Krawiec. Polegli podoficerowie to: Władysław Hort, Józef Ignaszek, Kazimierz Kulig i Stanisław Karol Szypiński. S. K. Szypiński przed wojną był, jak pisze dr K. Skowroński redaktorem gazety "Polska Zachodnia" w Katowicach. Pamiętamy, że do poległych, znanych z nazwiska, należy dołączyć Józefa Cebulę, zmarłego, po bitwie, w Weryni, a do osób pochowanych bezimiennie, żołnierza zmarłego w Ranizowi, pochowanego na tamtejszym cmentarzu.

Kazimierz Skowroński podkreśla w swoich pracach, że we wrześniowych bitwach na ziemi kolbuszowskiej polegli Polacy, głównie żołnierze, pochodzący ze wszystkich krain II Rzeczypospolitej Polskiej, z Podhala, z ziemi krakowskiej, z Poznańskiego, z Kujaw, z Wileńszczyzny i Huculszczyzny, że zginęli oni w dowód jedności i oddania dla najważniejszej sprawy polskiej, sprawy obrony Polski Niepodległej.

Polegli zostali pochowani, na kolbuszowskim cmentarzu, w trzech grobach: w jednym dużym i dwóch małych. W małych pogrzebano osoby, znalezione po zasypaniu już dużej mogiły. Kolbuszowskie władze miejskie i ludność miejscowa dbają już sześćdziesiąt lat o te groby i będą dbali nadal. W dużym grobie znalazło wieczny spoczynek około stu osób. Zewnętrzny jego wystrój ulega zmianom. Najbardziej wymowny i wzruszający był pierwszy wygląd, wojenny i powojenny. Rozległa mogiła usypana była dosyć wysoko i obłożona zieloną damią na wschodnim, wtedy jeszcze pustym, krańcu cmentarza. Po jej wschodniej, długiej stronie postawiono wysoki, drewniany krzyż. Krzyż został wykonany gratisowo przez Józefa Mazurkiewicza, przedwojennego podoficera Wojska Polskiego, syna Wiktora i Eleonory z Chodorowskich, siostry poległego na Zamojszczyźnie majora Tadeusza Jana Chodorowskiego. Wiktor Mazurkiewicz był ostatnim mistrzem dawnego, kolbuszowskiego, artystycznego stolarstwa. Co roku, na wiosnę kolbuszowianki zasiewały grób kwiatami. Zjeżdżali się przy nim krewni i bliscy poległych. Pierwsza przyjechała narzeczona Tadeusza Cyborana, bywała siostra Jana Rządковского. Potem pojawiał się i Andrzej Krawiec, który zmarł w Suchedniowie, w 1978 roku. Tymczasem w rządzonej przez komunistów powojennej Polsce Ludowej usunięto z grobu wysoki krzyż. Grób otoczono cementowym krawężnikiem i żelaznym łańcuchem, pomalowanym na biało i czerwono, a od jego frontu ustawiono cementowy postument, z hełmem wojskowym, Orłem Białym i datą - 9.9.1939. Tablica,

położona u stóp postumentu zawierała słowa hołdu dla Żołnierzy Polskich, Obrońców Kolbuszowej. Drugi raz zmieniono wystrój dużego grobu w latach osiemdziesiątych, staraniem naczelnika Miasta i Gminy Kolbuszowa pani Wiesławy Stawickiej. Ten wystrój, bardziej efektowny, z tablicami, przedstawiającymi nazwiska poległych, został zaprojektowany przez kolbuszowskiego architekta, ma jednak wielką wadę. Zgodnie z projektem zlikwidowany został krawężnik w środkowej, frontowej części grobu, przez co sprawia wrażenie rozbitego na trzy części. Środkowa jego część straciła grobowy charakter. W dniu Wszystkich Świętych chodzą po niej, świecąc na niej światła. Dotychczasowe próby usunięcia tego smutnego stanu, nie dały rezultatów. Może jednak kiedyś to nastąpi i cały, długi grób dostanie znowu jednolite obramowanie. Ostatnio, po upadku w Polsce ustroju socjalistycznego, na cokole grobu zmieniono tablicę z Orłem Białym. W miejsce Orła bez korony - godła Polski Ludowej, dano Orła z koroną - godła II Rzeczypospolitej.

Miłym faktem jest to, że imię "Bohaterów Września 1939 roku" przed laty przyjęła kolbuszowska Szkoła Zawodowa, zorganizowana dzisiaj w Zespół Szkół Zawodowych. Bywał w niej kiedyś kapitan rezerwy Andrzej Krawiec. Na budynku szkolnym umieszczona jest tablica, poświęcona pamięci żołnierzy Armii "Kraków" i "Karpaty", którzy w pamiętnej "Polskiej Jesieni", przed straszliwym, bandyckim najeźdźcą bronili wolności i niepodległości naszej ojczyźnej ziemi, naszego państwa. W Zespole Szkół Zawodowych, w Izbie Pamięci gromadzone są pamiątki po byłych Żołnierzach Września. Pamięć o Nich będzie trwała.